66 333/84 rez

12
156
KIELCE
grudzień 1983
rok XIV
cena 20 zł

przemiany

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

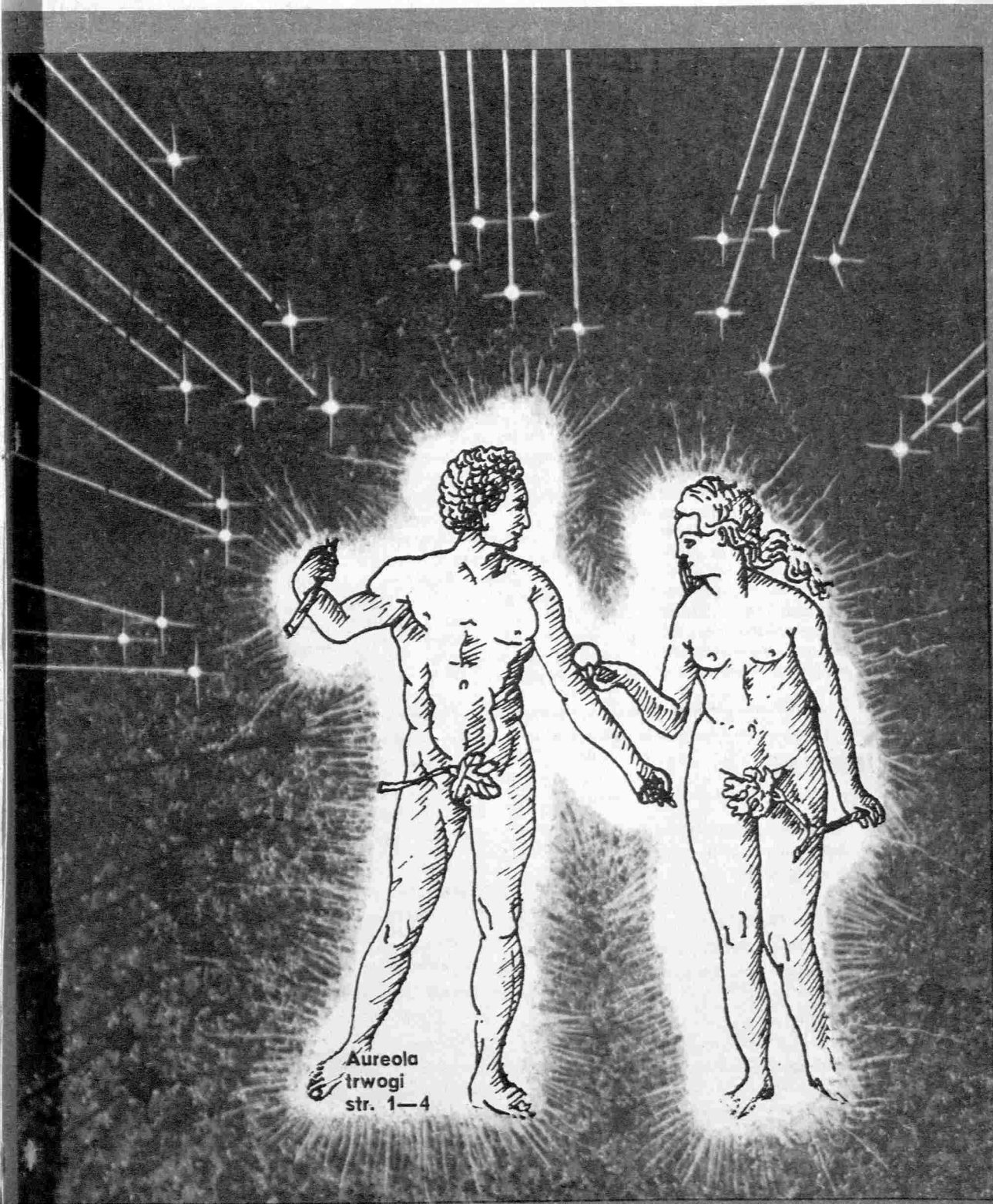

Aureola trwogi str. 1—4

przemiany

POTOCZNIE mówimy: człowiek ideowy, o kimś innym – bezideowy. Charakterystyki zawarte w tych określeniach bywają na ogół właściwie odbierane i nie prowadzą do nieporozumień. Są kwalifikacjami jednoznacznymi. Ale jednak co potoczne i obiegowe, nawet jeśli pozostaje w ramach dopuszczalnego przez język uproszczenia i skrótu myślowego – nie zawsze bywa precyzyjne, a nawet nie musi być prawdziwe. Cóż bowiem, gdy zastanowić się głębiej, oznacza określenie „człowiek bezideowy"? Takich ludzi po prostu nie ma.

Każdy z nas bowiem, bez względu na to, czy się do tego zechce przyznać czy też nie, co odnosi się również do największego w swym mniemaniu „bezideowca" głoszącego absolutny indyferentyzm ideologiczny – jest przecież wyznawcą jakiejś – takiej czy innej, pozytywnej czy nagannej – ideologii, którą kieruje się w codziennym postępowaniu. Nasze zachowania, czyny, aktywność – coś wyrażają, coś je także motywuje; każdy z nas nosi w sobie własny system wartości, z którego wywodzi sens życia. Każdy program życiowy wyraża stosunek człowieka do siebie, do innych, da się rozpatrywać jako manifestacja miejsca w społeczeństwie, przejawia się wreszcie jako afirmacja bądź negacja otaczającej rzeczywistości. I nie da się zaprzeczyć, że to jest ideologia. Coś, co tworzy wielką siłę. Bo suma ideologii jednostkowych składa się na rewolucyjny potencjał świadomości społecznej.

Dziejowy proces przyznał partii marksistowskiej prawo, aby w socjalistycznej Polsce pełniła rolę strażnika tego potencjału. Do strażnika chcemy mieć zaufanie, oczekujemy od niego wiarygodności. Kryzys, jaki dotknął partię, osłabił jej autorytet, a tym samym – siłę jej ideologicznego oddziaływania. O przyczynach kryzysu partii powiedziano już bardzo wiele. Na XIII plenum KC przypomniano dobitnie i wprost, że partia dopuściła się wielkiego odstępstwa od zasad marksizmu, bowiem działała w oderwaniu od rzeczywistości, nie dysponowała jej należytym, analitycznym rozpoznaniem, a własne pragnienia brała za fakty. Tak powstawały niektóre mity idealizujące społeczeństwo. Partia utraciła więź ze swoim teoretycznym zapleczem, nie wsłuchiwała się w głosy nauk społecznych, sama „wiedziała lepiej" jaki jest stopień integracji społecznej, stan stosunków między klasami, sama określała stadium rozwoju socjalizmu. Marksizm z różnych przyczyn, m.in. z tego względu, że nie zgłaszano pod jego adresem zapotrzebowania, aby dostarczał odpowiedzi na ważne pytania współczesności – utracił zdolność krytycznej analizy rzeczywistości i prognozowania jej rozwoju. Aktywność polskich marksistów, zresztą aktywność umiarkowana, skierowana była jak gdyby do wewnątrz obiektu badawczego, marksizm przestał być metodologią dla poznawania rzeczywistości, a przedmiotem wiwisekcji egzegetów kontemplujących jego wewnętrzne kategorie. Dobitnie więc zabrzmiał z trybun XIII plenum postulat pełniejszego udziału nauk społecznych w rozwiązywaniu poznawczo i społecznie ważnych problemów, postulat intelektualnego wysiłku nad poznawaniem społecznej rzeczywistości i sposobami jej przekształcania. To podstawowy warunek prowadzenia przez partię prawidłowej polityki oraz unikania błędów. Marksizm musi tę praktykę wspomagać, ale aby to czynił skutecznie, musi nie tylko nadążać za życiem, ale je wyprzedzać, musi być mądry w ocenie zjawisk i procesów społecznych całą mądrością swej dotychczasowej teorii i praktyki. Jest bowiem matecznikiem ideologii socjalistycznej, ideologii, która musi być spójna, organizująca sobą wszystkie dziedziny życia społecznego w skoordynowany system, o którym będzie powiedzieć można, że jest autentycznym systemem sprawiedliwości społecznej.

Nie ma bowiem ludzi bezideowych. Są tylko wyznawcy i zwolennicy różnych ideologii.

□

W NUMERZE:

Stanisław Rams — Aureola trwogi 1
Jan Sarna — Najpierw swój poznaj kamień . 5
Marek Grala — XIX (Z cyklu „Pieśni nieba i ziemi") 8
Zbigniew Nosal — Dusze udręczone 9
Jadwiga Karolczak — Portfel i dusza . . . 13
Julita Twardowska — ...i gwiazdy spadać będą z nieba... 16
Dorota Krzemionka — Szpitalik 20
Andrzej Wojciech Guzek — Flora 24
Eugeniusz Dąbrowski — Partyzanckie wesele u „Jędrusiów" 25
Barbara Wachowicz — Państwo Zborowskich („Ogród młodości") 28
Zdzisław Szeląg — Wieszcz na indeksie . . . 32
Zdzisław Antolski — Księżyc 34
Plastyka 36
Książki 38
Józef Rurawski — Czy kochać „kryminały"? . 40
Teatr 41
Apteka natury 43
Tadeusz Zamogilski — Matkobójca 44
de omnibus rebus 45
Kronika 46
Krzyżówka 48

Okładkę projektował LESZEK WOŹNICKI

AUREOLA TRWOGI

Stanisław Rams

STOIMY z panem Siedlakiem na balkonie czwartego piętra. Naprzeciw nas, w odległości zaledwie trzydziestu metrów widać wysoki maszt radiostacji. Odczuwamy niepokój, jakbyśmy pociągali za ogon śpiącego krokodyla Obaj dobrze wiemy, że tego typu antena śle w naszą stronę szkodliwe promieniowanie elektromagnetyczne. Niebezpieczne z powodu bliskiego sąsiedztwa mieszkania i masztu, a także z uwagi na moc nadajnika.

Stanisław Siedlak, pracownik starachowickiej fabryki samochodów mówi:

— Jestem spawaczem, szkół wielkich nie ukończyłem. Mam prawo nie znać się na tym. Ale gdzie są specjaliści? Gdzie nadzór? Jak można tak lekceważyć zdrowie ludzi.

Milczę, przyznaję mu rację w swoich myślach. Patrzę na panoramę miasta. Wokół masztu trwa rozbudowa osiedla „Skałki". Kilkupiętrowe bloki mieszkalne wianuszkiem otaczają radiomaszt. U jego stóp założono ogród rekreacyjny. Działki pracownicze. Posadzono drzewa owocowe, krzewy. Rosną rabaty kwiatuszków, pietruszki i kapusty. Kolorowe chatki — puchatki dla wypoczynku. Też sobie znaleźli dogodne miejsce...

Przed kilku minutami rozmawiałem z działkowcem, który ma grządkę najbliżej radiowego masztu. Mieszka dwieście metrów dalej, w nowo oddanym bloku. Też skarżył się na migreny, częste bóle głowy, bezsenność. — Nie mogliby tego cholernego nadajnika przenieść w inne miejsce? — postawił mi pytanie Spokojnie wrócił do przerwanych zajęć na grządce. Teraz, z wysokości balkonu obserwuję jego krzątaninę. Maszt masztem, a pietruszka do rosołu potrzebna.

Byłem też wcześniej w mieszkaniu Nowocieniów, dwa piętra niżej Zanim odwiedziłem rodzinę spawacza. Jerzy Nowocień na widok reportera westchnął: — Nareszcie ktoś tym draństwem raczył się zainteresować. Może rzeczywiście prasa pomoże, bo tracimy już nadzieję i cierpliwość. I dodał: — Dopiero rok tu mieszkamy, a już możemy z całą pewnością stwierdzić zagrożenie dla zdrowia. Odkąd wprowadziliśmy się tutaj, moja żona narzeka na coraz częstsze bóle głowy, stałe przemęczenie. Ja też nie mogę spać w tym pokoju przyfrontowym, mówił mi pan Jerzy, uciekam do pokoju sąsiedniego, tam w głębi, ściana dzieli, jakoś lżej. Te niewidzialne, to straszna zaraza, ciągnął skargę pan Jerzy, mistrz budowlanki. Kolega miał hodowlę lisów pod linią wielkich natężeń. To w tej fermie lisy zaczęły zdychać jak muchy. Dopiero gdy przeniósł hodowlę w inne miejsce, śmierć przestała zaglądać do fermy. Znajomy zadbał o zdrowie swoich lisów, o nas nikt nie chce się troszczyć...

Przekazałem opinię pana Jerzego spawaczowi. Stanisław Siedlak patrzy na mnie drwiąco, z mniejszą atencją dla prasy. — I tak panu nie puszczą, po co notować? — mówi. — Byli zimą z jakiejś komisji, z aparatami. Badali, badali. Potem nam rzekli, żeby nie spać przy kaloryferach. I nie wychodzić na balkon, bo krzywda się stanie.

— Dzieci mamy drobne — zwraca uwagę uwagę małżonka Siedlaka. — Złapie toto rączką za balustradę, jak kiedyś siepnie...

Taka sprawa. Te niewidzialne siepnęły budowlańca przed trzema laty Od tego zaczęła się kołomyjka Wir papierków. Tańce urzędników z parasolem na linie. Było tak: stawiali wtedy ten blok, gdzie teraz mieszka Siedlak z rodziną i wielu innych. Przy ulicy Murarskiej. Postawili dźwigi. Któregoś dnia robotnik uchwycił się żelaznego haka na zawiesiu dźwigowym. Siepnęło. Mówi więc do majstra: nie będę obsługiwał, bo siepie. Jak to siepie? — woła majster — Bunty robisz? Majstrowa ręka chwyci-

ła za hak. Siepnęło. O, kurwa! — powiedział majster nieco śpiewnie i pobiegł do inżyniera z nadzoru. Tak i tak, siepie. Ten z nadzoru: co wy mi tu pieprzycie, majster! Planów miesięcznych nie znacie? Premii się boicie? Terminy cisną, do roboty!

Ale na robotę się nie zanosi. Robotnicy schodzą z posterunków pracy. Biegnie nadzór, poznać prawdę chce z autopsji, z robotnikami się brata. Bo tam nic nie powinno siepać, wszystko gra. Zgodnie z wytycznymi. Tymczasem inżynierem też zatrzęsło, aż mu oczy na wierzch wyszły. Sprawdzają izolację, czy nie ma gdzieś przebicia. Wszystko gra, co jest! Leci więc komunikat o starachowickim siepaniu do województwa, potem do stolicy.

Zjechała się komisja na plac budowy. Badają. Niuchają. Najważniejszy z Państwowej Inspekcji Radiowej wyjaśnia sprawę: to wina tego masztu! Wszystko co żelazne i w pobliżu staje się wtórnym źródłem pól elektromagnetycznych. Dlatego siepie. Zaopatrzył się w rękawice ochronne. Zadbać o behape. Doraźnie uziemić zawiesie dźwigu. Poinstruować świat roboczy. I budować, budować nadal! Niech rośnie osiedle na „Skałce", ku pożytkowi, na pohybel kryzysom...

Ale mieszkańcami w takich blokach też będzie siepało! No bo kaloryfery, instalacje, żelazne balustrady balkonów. Naczynia w kuchni. Dużo metalowych rzeczy w pokojach mieszkalnych. Znów zawirowanie papierków: czy budować osiedle? Sprawa oparła się o Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej.

Mirosław Kacprzak, lekarz a zarazem dyrektor Departamentu Inspekcji Sanitarnej tegoż ministerstwa zabiera głos. W streszczeniu wygląda to tak:

— Budować, budować! Tylko niech dzieciska nie kręcą się po podwórzu, bo może siepać...

Duszo urzędnicza, ile w tobie pokory...

* * *

O bardzo dziwnym nieraz działaniu silnych pól elektromagnetycznych wiele opowieści krąży wśród ludu. Promieniowanie wielkich częstotliwości jest niewątpliwie szkodliwe dla żywych organizmów, tym bardziej gdy pozostają w jego strefie przez długi czas. Nauka dotąd nie wypowiedziała się jednoznacznie, jakie konkretne schorzenia są wynikiem tegoż promiennego sąsiedztwa. Domysły. Podejrzenia o białaczki. O różnego typu nowotwory. Dolegliwości oczu. Zaburzenia hormonalne. Bezpłodność. Zakłócenia pracy serca. Nerwice. Bezsenność, chroniczne przemęczenie. Przyspieszone procesy starzenia. Czarna lista podejrzeń jest długa. Litania krzywd bogata.

Jedno jest pewne: ciało ludzkie jest półprzewodnikiem, a zarazem bardzo delikatną materią o złożonych procesach chemicznych, fizycznych. Powstające pod wpływem promieniowania elektromagnetycznego prądy powodują przemianę tejże energii — w energię cieplną. To nie jest korzystne dla tkanek, komórek, ten nadmiar procesów cieplnych. Natężenie tegoż promieniowania w dłuższym okresie niewątpliwie powoduje uszkodzenie tkanek w postaci oparzeń, aż do obumarcia termicznego włącznie. Taka jest prawda, smutna prawda, nie ma innej. Nie podkreślam już tego, że przecież żywy organizm jest także źródłem emitującym różnego typu promieniowanie, w wyniku bioelektrycznej funkcji rozmaitych narządów. Te złożone i mało poznane jeszcze procesy bioelektryczne zostają przecież zakłócone, gdy przebywa człowiek w polu promieniowania elektromagnetycznego wielkich częstotliwości.

Sporo niespodzianek czeka w takim polu. Kiedyś w pobliżu chaty, gdzie przebiega linia energetyczna wielkich częstotliwości, omal nie doszło do cudu. Zapadał jesienny zmierzch. Mokra mgła wisiała nad miedzami. Patrzy kobiecina przez okno: rany boskie, idzie święty! Prosto do ich obejścia. Głowa w promienistej aureoli. Cała postać otoczona jasnymi promykami. Nawet teczka pod pachą. Pada kobiecina na polepę: cud, cud! Wybiega chłop z izby, by godnie powitać przedstawiciela niebios. A to był po prostu sołtys. Z nakazem płatniczym. Warunki atmosferyczne, mokry ubiór, przechodzenie pod linią przesyłową wielkich mocy i święty gotów!

— Opowiem taki przypadek — obiecuje inż. Zenon Łyczak, prezes starachowickiej spółdzielni mieszkaniowej. — Gospodarstwo rolne było oddalone od linii energetycznej wiele kilometrów. Niby w bezpiecznym oddaleniu. Ale jakiś strumień tego promieniowania wyrywał się w tamtą stronę i atakował siewnik przy stodole. Maszyna stała się natychmiast wtórnikiem, zaczęła promieniować ze zwiększoną mocą. Chce chłop siać, a tu do siewnika ani przystąp. Kopie prąd. Raz mocniej, to znów słabiej, ale zjawisko nie ustępuje. Tak samo z innymi metalowymi narzędziami w tym gospodarstwie. Mijały miesiące, ludziska zaczynają cierpieć na różne dolegliwości. Także żywy inwentarz. Z początku nikt nie umiał tego poprawnie sobie skojarzyć. Przyczyn i skutków. Po prostu czary. Diabeł się zawziął na gospodarkę indywidualnego chłopa i pragnął ją zrujnować...

Rozmowa przy herbatce wartko się toczy. Wracamy jednak do tych lisów. Dlaczego wolały umrzeć niż egzystować pod linią przesyłową wielkich mocy. Umocniliśmy się w gabinecie prezydenta inż. Włodzimierza Werysa i naciskamy, aby gospodarz miasta wypowiedział się jednoznacznie w delikatnej przecież sprawie. Wciąż to samo pytanie: dlaczego zezwala się na budowę linii przesyłowych tak wielkich energii przez środek dużego miasta? Nad dachami domów. W bezpośrednim sąsiedztwie bloków mieszkalnych, zaludnionych osiedli, rojnych ulic, placów zabaw.

Prezydent Werys jest trochę zniecierpliwiony obcesowością pytań.

— Spokojnie, zaraz wyjaśnię. Gdy podejmowano decyzję w sprawie budowy tej linii, tutaj nie było jeszcze Starachowic. Istniało w oddali małe osiedle. Dopiero potem miasto się rozrosło. Podobnie zresztą było z masztem radiostacji. On wcześniej został zaprojektowany i zbudowany, zanim tutaj zaczęły wyrastać budynki osiedla.

Nie przekonał mnie rozmówca. Wychwytuję słaby punkt w jego argumentacji.

— To dlaczego urbaniści chcą koniecznie budować miasto w tym rejonie, w polu wielkich natężeń?

— Do niedawna nie było jeszcze przepisów odnośnie strefy ochronnej — słyszę odpowiedź. — Przepisy przyszły później. Zresztą służba zdrowia nie sygnalizuje nam nasilenia schorzeń spowodowanych złym sąsiedztwem.

— Czy ktoś badał problem? Lekarze mogą nie kojarzyć sobie skutków z przyczynami...

— Zaraz się upewnimy — decyduje prezydent. Sekretarka łączy go telefonicznie z dyrektorem starachowickiej służby zdrowia.

— Cześć, mam do ciebie takie pytanie. Czy służba zdrowia zanotowała nasilenie się schorzeń związanych z obecnością radiostacji i linii wielkich natężeń w naszym mieście? Aha, nie stwierdziła...

— Nie stwierdziła — powtarza mi.

— Czy badali problem pod tym kątem? Jakieś wywiady, obserwacje? — podsuwam myśl.

— Czy badaliście problem pod tym kątem? — prezydent przesyła moje pytanie przewodem telefonicznym. — Co, nie było? Aha, słyszałeś, że w okolicy Psar jest zwiększenie białaczek...

— To o Psary chodzi, nie o nas — uspokaja prezydent.

— Skąd służba zdrowia wie, że nie ma w mieście tego problemu, jeśli nikt dotąd tym się nie zajmował?

— Skąd wiecie, skoro nie badaliście? — leci znów pytanie w tamtą stronę.

— Dobrze, zróbcie to, wiesz, jakieś badania porównawcze, sondaże. Doktorat można z tego zrobić. Wiesz, damy nawet jakieś stypendium dla chcącego...

* * *

To już szablon, stereotyp. Mówiąc o skażeniu naturalnego środowiska człowieka mamy zazwyczaj na myśli pyły przemysłowe, emisje gazów trujących, agresywność środków chemicznych, zatrucie gleb, fenole w nurtach rzek. Na ogół nie zwracamy uwagi na groźny typ skażeń pochodzący ze sztucznych źródeł promieniowania elektromagnetycznego. Może dlatego, że wróg to niewidoczny. Perfidia jego działania ujawnia się zwykle w dłuższym wymiarze czasu.

Cywilizacyjny postęp, rozkwit techniki, przynoszą ludziom w darze także kłopoty. Sposobią pułapki. Nie tylko komfort życia. Biedny organizm homo sapiens, przez miliony lat adaptowany do warunków naturalnych, nagle staje bezradny wobec agresji silnych pól różnych energii, promieniowań w ogromnych natężeniach. Te linie napowietrzne, maszty radiostacji, przekaźników telewizyjnych, te lasy anten na dachach bloków mieszkalnych, potężne elektrownie, różnego typu urządzenia radiolokacyjne, radionawigacyjne, komunikacyjne! A przemysłowe źródła generujące mikrofale! A te urządzenia domowe, pozornie niewinne, tak bardzo ułatwiające życie — lodówki, odkurzacze, odbiorniki telewizyjne, aparaty telefoniczne! Nagromadzenie ich wokół człowieka, z działaniem kumulującym, musi budzić rozwagę. Co za dużo to niezdrowo...

Niedostatek wiedzy w tym przedmiocie rodzi straszydła. Budzi nieraz paniczne nastroje. Ze skrajności — w skrajność. Tymczasem ani bezmyślność i niewiedza, ani strach o wielkich oczach nie są pożądane. Trzeba wiedzieć, po prostu wiedzieć. Znać swoje szanse. Poznać bliżej niewidzialnego przeciwnika.

Psary, wieś w Dolinie Wilkowskiej. Nastrojowy obrazek: las rudziejący w jesiennym słońcu. Talerze stacji satelitarnej. Szukają sputników w ołowianym niebie. Ziewający strażnik przy bramie. I krówka leniwie skubiąca trawę na wygonie. Kobieta narzeka:

— Mleko w wymionach ginie. Z powodu tych talerzy. Jakieś promienie mają złe. Kury tylko rok żyją, zdychają. Koń nam już drugi padł. W lesie tyle było borowików, jak panną byłam, że można kosić. Teraz grzybów nie ma. I ptaki nie śpiewają. Smutny las się zrobił, bardzo smutny. Z tych promieni...

Mówię do kobiety:

— Byłem w stacji nie tak dawno temu. Kierownik pokazywał

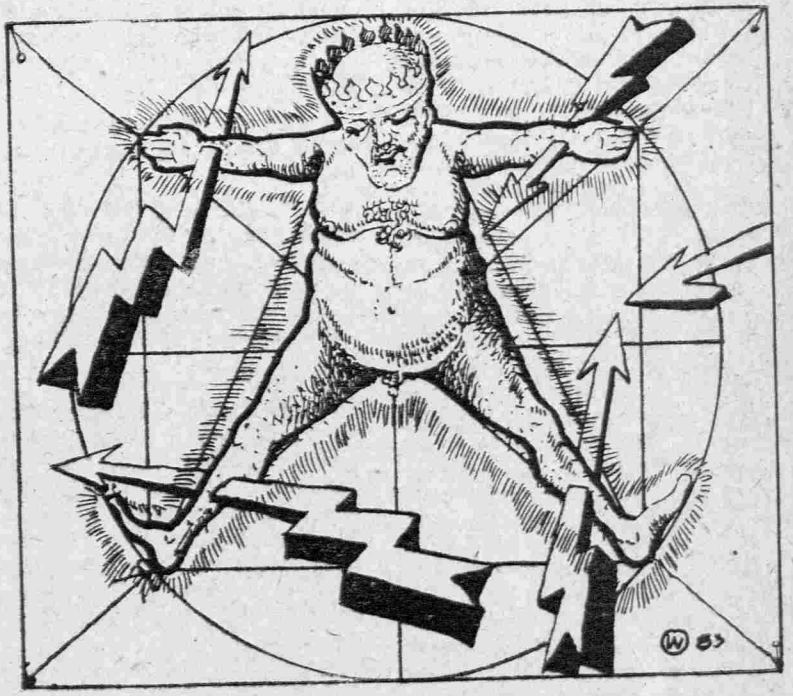

Rys. Waldemar Oleszczak

mi gniazdo ptaszka. Uwił sobie to gniazdko pod parapetem okna, na gzymsie. A nad nim talerze...

— Iii, jakiś ptak wariat! — nie daje za wygraną kobieta. — Wszystko co żywe źle tutaj się czuje...

Inna pogawędka, w Bodzentynie. W dyrekcji Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Inż. Antoni Miernik, dyrektor, ujawnia swoje poglądy w skąpych słowach.

— Zło gromadzi się w rejonie naszego parku. Wybudowali przekaźnik na Świętym Krzyżu, mimo naszych protestów. Postawili tę stację satelitarną, też blisko nas. Pokroili lasy linią wysokich natężeń. Gwałcą przepisy, nas nie pytają, czy wolno tu inwestować.

Nie chcę siać panicznych nastrojów, mówi nadal dyrektor, ale nie jest dobrze. Żywe organizmy z pewnością odczuwają zło. Mikrofale, wiadomo. Wysokie natężenia, co tu dużo mówić. To wszystko czeka na głos nauki, medycyny. A oni milczą. To wszystko trzeba sprawdzić, zbadać. Jakieś materiały porównawcze; jak dziś, jak niegdyś. Co się w tym czasie zmieniło. Inwentaryzacja w parku jest potrzebna, co jakiś czas. Wówczas będzie materiał porównawczy. Mówią, że przepiórki wyginęły, informuje dyrektor w dalszym ciągu. Chyba ptaki z puszczy uciekają. Zwierzyna w te strony zagląda niechętnie. Ale to wszystko może okazać się subiektywną obserwacją. Jakieś odczucia. Luźne spostrzeżenia. Może być i tak, że niby wszystko w porządku, brak objawów. A w końcu okaże się, że te mikrofale działają destrukcyjnie na układ genetyczny. Chyba przepiórki więcej wiedzą na ten temat niż inwestorzy...

Znów rozmowa. Leśne wzgórze — Święty Krzyż. W środku narodowego parku. Zabytkowy klasztor, mieszkają tu ludzie. Kościół. Muzeum przyrodnicze. Kawiarenka. Gromady turystów, dziecisk. Obok silna stacja, strzelająca wieżą na sto metrów w górę. Na szczycie antena. Na niej oczywiście niewidzialny wróg. Poprawnie nazywa się to wszystko: Radiowo-Telewizyjne Centrum Nadawcze „Święty Krzyż". Radiostacja. I tabliczka z ostrzeżeniem: „Strefa Ochronna Drugiego Stopnia. Ciągłe przebywanie ludności wzbronione".

Kierownik stacji inż. Mirosław Maszoński potwierdza, że emituje się tu promieniowanie elektromagnetyczne, szkodliwe dla zdrowia.

— To czemu zbudowano stację właśnie tutaj? W sercu ścisłego rezerwatu. W zabytkowym miejscu, gdzie przez cały rok roi się od tysięcy turystów, wycieczek szkolnych, pątników?

— A czy ja temu jestem winien? — obrusza się kierownik. — Robię co mi każą...

— Czy załoga nie jest atakowana przez te promienie?

— Owszem. Ale zabezpieczamy ją przez ekranowanie, odpowiedni strój ochronny. Istnieje obowiązek okresowych badań lekarskich. Gorzej jest na zewnątrz budynku.

— Czy zagrażacie mieszkańcom Nowej Słupi, innych miejscowości?

— Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Nie było takich badań. Zresztą są różne strefy zagrożenia. Ta groźba maleje z kwadratem odległości. Najgorzej jest w pobliżu naszego obiektu.

Po chwili:

— Pracuję tu już siedemnasty rok. Jakoś nie umarłem. I nie obserwuję, żeby zające od nas panicznie uciekały. Może ich mniej, z pewnością ich mniej. Ale to może być winą hałasów. Nasz obiekt hałasuje. O, na przykład teraz słychać? Tym razem uruchomiły się pompy centralnego ogrzewania.

Wychodzę z wieży. Świeże powietrze. Słońce. Gwar wokół. Starsza pani nakłada na nos okulary. Zbliża się ze znudzeniem do czerwonej tabliczki z ostrzegawczą treścią. W cieniu wieży rozgościła się dziatwa. Jedzą bułki z serem, piją herbatę z termosów. U starszej pani nagle grymas zdumienia przechodzący w trwogę:

— Chłopcy, uciekać, uciekać, nie rozpraszać się!...

* * *

W Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Kielcach żyje sobie dwóch panów, mało lękliwych, jeśli chodzi o promienie elektromagnetyczne. Mogą śmiało powiedzieć, że znają się na tym krokodylu. Stanowią razem dwuosobową komórkę specjalistów w tymże przybytku. To pracownicy Ochrony Radiologicznej — inżynierowie — Jerzy Chiciński i Tadeusz Olszewski. Ten pierwszy opowiedział mi właśnie o promienistym sołtysie i cudownej przygodzie pod linią przesyłową.

— Panowie, bać się tych promieni, czy nie bać? — stawiam pytanie sondujące.

— Nie wpadać w panikę — odpowiada magister Olszewski.

— Są środki zaradcze — mówi drugi.

Rozmawiamy o nich. A więc wpierw rozsądna lokalizacja tychże inwestycji, mądre projektowanie. Niestety, do projektantów, planistów i decydentów jakoś szczęścia nie mamy. Wszystko dzieje się tak, jakby ich nie było. Albo inaczej: jakby na tych stanowiskach pracowali ludzie pod wezwaniem Świętej Ignorancji. Powiedzmy im wyraźnie: takie inwestycje lokuje się daleko poza obrębem miast, gęsto zaludnionych aglomeracji. Myśleć trzeba koniecznie z wyprzedzeniem, wybiegać wyobraźnią dziesiątki lat naprzód. W terenie zaludnionym rozwiązania projektowe muszą być inne. Nie linie napowietrzne, lecz kablem w ziemi. Zrozumiano? Poza tym działania profilaktyczne. Siatki ochronne przy stanowiskach pracy. Ekranowanie. Odpowiednie stroje robocze. Nie przebywać długo w strefie zagrożenia. Rotacja pracowników na takich stanowiskach pracy. Okresowe badania kontrolne grup i załóg pracujących w polu wielkich energii, mikrofal.

— A co robić z konfliktem starachowickim?

— Rozebrać maszt radiostacji i przenieść w odludne miejsce — informuje Olszewski.

— Inwestorzy działali wbrew przepisom?

— Kilkanaście lat temu nie było wyraźnych przepisów w podobnych sprawach — wyjaśnia drugi inżynier. — Stąd ta radosna twórczość projektantów...

— Gdy nie staje przepisów, jest jeszcze rozum w głowie...

— Trzeba go mieć — zauważa Olszewski.

Późno, bo późno, ale przepisy już są. Prawodawca swymi decyzjami pragnie zapobiec takim sytuacjom, kiedy trzeba koniecznie inwestować, a rozsądku nie starcza. Wtedy przepis dobry na wszystko... Przed trzema laty parlament zrodził ustawę o ochronie i kształtowaniu środowiska przed promieniowaniem niejonizującym. W oparciu o ten dokument Rada Ministrów wydała rozporządzenie w sprawach szczegółowych zasad tejże ochrony. Mówi się w nim o konieczności ustanowienia stref ochronnych. Zabrania się lokalizacji obiektów mieszkalnych, szpitali, internatów, żłobków w rejonie działania pól elektromagnetycznego promieniowania wielkich częstotliwości. Ustala się wartości graniczne stref ochronnych. A zatem pierwsza zapora prawna przeciw rozhasaniu swawolnych Dyziów, mało rozsądnych inwestorów, już została zbudowana.

* * *

Nie wrócimy już do jaskini, potomkowie troglodytów. Przeobrażenia cywilizacyjne, gospodarcze są obiektywną koniecznością. Wolimy żarówkę niż łuczywo. Ekonomiczniej jest pracować młotem pneumatycznym niż krzemiennym pięściakiem. Uzbrojonym w komputer lepiej nam się liczy niż na palcach. Pieczyste lżej upichcić na elektrycznym rożnie niż przy ognisku, w głuchym pustkowiu. Do Basi w Warszawie chcemy jeździć ekspresem elektrycznym, gdyż trzydniowy bieg nie jest już dla nas ewentualnością do przyjęcia.

Jesteśmy skazani na postęp. Nawet kiedy ten postęp trzeba okupić ryzykiem, ofiarami.

Od czego jednak mamy głowę? Czy wyłącznie po to, aby nosić na niej kapelusz? □

STANISŁAW RAMS

Najpierw swój poznaj kamień

Jan Sarna

DOBRZE jest, kiedy człowiek zna historię zamierzchłych cywilizacji i kultur. Przede wszystkim powinien on jednak znać historię swego kraju ojczystego, a więc historię i kulturę swego regionu, pragnienia i działania swoich przodków, tradycję ziemi, z której wyrósł. Jest to ważne z tego względu, że człowiek rozwija się społecznie nie przez kształcenie pojęć, lecz głównie przez kształtowanie uczuć, a te najłatwiej modelować posługując się tym materiałem, który człowiekowi jest najbliższy.

Unikalność ludzkiej działalności polega na tym, że ma ona charakter twórczy, że człowiek wprowadza do świata zewnętrznego określone zmiany. Ale budowanie nowych form z elementów już istniejących zakłada poznanie i zrozumienie obiektywnych możliwości tkwiących w materiale, na który skierowana jest działalność twórcza. Otóż poznanie to i zrozumienie będzie tym dokładniejsze, im bliższym będzie dla nas ów materiał, im częściej spotykamy się z nim w swoim jednostkowym i społecznym życiu jako członkowie określonego narodu, rasy czy pokolenia.

Pojęcie regionu łączy się ściśle z określonym rozumieniem regionalizmu. Czym zatem jest regionalizm?

Regionalizm jest to ruch ideowy, zmierzający do zachowania i wzbogacenia odrębnej kultury, a przez to do wzbogacenia kultury ogólnonarodowej. Regionalizmu w żadnym wypadku nie należy utożsamiać z folklorem, czyli ludową twórczością artystyczną. Wprawdzie regionalna twórczość artystyczna (folklor) tkwi głęboko we wszystkim, co dzieje się w regionie, a więc w jego życiu społeczno-kulturalnym

nym, to jednak regionalizm jest pojęciem o wiele szerszym. Regionalizm jest ideą, czy też siłą jednoczącą zbiorowość ludzką poprzez tworzenie wartości duchowych i materialnych, będących elementem kultury ogólnonarodowej. Wartości regionalne to te, które powstają zgodnie z naturalnymi cechami regionu i jego mieszkańców. Jest więc regionalizm dążeniem do takiego realizowania życia, które pozostawałoby w zgodzie z określonymi warunkami geograficznymi, etnograficznymi i socjologicznymi. Źródłem rozwoju ruchu regionalnego jest sama społeczność regionalna, jej przywiązanie do bogactwa i piękna kultury swego regionu. W ruchach regionalnych tkwią niewątpliwie wielkie siły. Trzeba je tylko umiejętnie wyzwolić i rozwinąć. Mogą się one przyczynić do umacniania i rozwijania odrębności kulturalnej poszczególnych ziem, do tworzenia stowarzyszeń regionalnych odwołujących się do tradycji i przeszłości, do powstawania instytucji oświatowych kultywujących regionalny styl budownictwa itp.

Regionalizm w Polsce od samego początku miał odmienne zadania niż podobne ruchy w innych krajach. Jeżeli tam był on dążeniem do utrwalenia wartości ogólnokulturowych, u nas koncentrował się najczęściej na pragnieniu przywrócenia ziemi i kulturze ojczystej jej własnego, swoistego oblicza, które pod wpływem procesów germanizacyjnych i rusyfikatorskich w całości lub w części zostały utracone.

Kształtowanie się ruchu regionalnego dokonywało się w Polsce w złożonej sytuacji społecznej i politycznej. W okresie zaborów lokalny patriotyzm miał na celu rozbudzenie świadomości i był niewątpliwie czynnikiem państwowotwórczym. W pierwszym okresie swej historii zalążki związków regionalnych przygotowywały ludzi moralnie i organizacyjnie do przyszłych działań militarnych w walce o niepodległość Polski. Miał więc ruch regionalny wtedy na uwadze względy narodowe i patriotyczne. Pierwszą i bardzo długo jedyną w Polsce organizacją o charakterze regionalnym było stowarzyszenie pod nazwą Związek Podhalan, którego statut został zatwierdzony przez władze odrodzonej Polski w 1919 roku. To właśnie Związek Podhalan wezwał inne ziemie polskie do powołania własnych organizacji regionalnych i realizacji idei regionalizmu. W okresie poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej ruch regionalny musiał mieć na uwadze względy narodowe i patriotyczne. Regionalni działacze przypłacili swoje przywiązanie do Polski i budzenie ducha narodowego śmiercią w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. W pierwszych latach po wyzwoleniu nie było sprzyjających warunków dla ruchów i stowarzyszeń regionalnych.

Dziś ruchy regionalne rozwijają się w Polsce bez przeszkód, powstają coraz lepsze warunki współistnienia kultury ludowej i folkloru z ogólną kulturą narodową. Imprezy regionalne w wielu przypadkach transmitowane są przez radio i telewizję, dzięki czemu cały kraj może zapoznać się z pięknem kultury regionalnej. Przodujące stowarzyszenia regionalne promieniują swoją działalnością, przede wszystkim swoimi słynnymi zespołami artystycznymi na cały kraj, a nawet daleko poza jego granice. Odnosi się to m.in. do takich imprez jak Dymarki Świętokrzyskie, jak Tydzień Kultury Beskidzkiej, a nade wszystko do festiwalu folkloru ziem górskich. Ta ostatnia impreza („Jesień Tatrzańska"), odbywająca się co roku we wrześniu w Zakopanem cieszy się dziś światową sławą.

Do działalności w duchu regionalnym potrzebna jest własna organizacja, skupiająca ludzi świadomych swej odrębnej i oryginalnej kultury i pragnących tę odrębność kultywować; organizacja, w której ogniskuje się działalność twórców regionalnych, w której gromadzi się dokumentację życia regionu i kultury regionalnej z danego obszaru. Organizacja taka może dawać możliwość wstąpienia do niej nie tylko ludziom urodzonym w danym regionie, ale również jego sympatykom, ludziom związanym z tym regionem głębszymi więzami. Jak pokazuje praktyka, „przybyszom" sprawy regionu leżą niejednokrotnie bardziej na sercu niż miejscowej ludności; przybysze owi tworzą też bardzo często całą ideologię regionu i regionalizmu.

Regionalne organizacje i stowarzyszenia mogą stawiać przed sobą bardzo zróżnicowane zadania. Mogą one dążyć do szerzenia tradycji jako podwaliny dla przyszłego rozwoju regionu i kraju, do utrzymywania towarzyskiej i duchowej łączności mieszkańców regionu, do podnoszenia miejscowej ludności pod względem etycznym, umysłowym i gospodarczym, do utrzymywania i pielęgnowania swoistej kultury regionu, wyrażającej się w mowie, obyczajach, tańcu, śpiewie i budownictwie. Świadomi i rozmiłowani w swoim regionie ludzie dążyć mogą do organizowania różnych imprez artystycznych, na których prezentuje się rodzime stroje, tańce i muzykę. Mogą również kierować swoje zainteresowania na problematykę kulturalną własnego regionu, mogą też kierować się chęcią podtrzymywania tradycji ojców, poznania własnej historii, ratowania rodzimej kultury przed groźnymi procesami niwelacyjnymi. Na terenach przygranicznych i poddanych silnym wpływom sąsiednich narodów mogą dążyć do uchronienia przed wynarodowieniem ludzi, zamieszkujących te obszary. Organizacje regionalne mogą podejmować inicjatywy o charakterze społecznym, jak budowa domów kultury, muzeów, tworzenie zespołów teatralnych, chóralnych, bibliotecznych itp.

Elementy tradycji i kultury regionalnej są czynnikiem inspirującym twórców, wzbogającym ich natchnienie i umacniającym wolę tworzenia nowych wartości. Sztuka ludowa jest jednym z istotnych elementów, wpływających na przekształcanie się i postęp kultury narodowej. Wszystkie wątki i tematy regionalne w literaturze polskiej biorą się z głębokiego odczuwania i zrozumienia odrębności kulturowej i unikalności niektórych zjawisk przyrodniczych. Regionalna przyroda, architektura czy kultura dla wielu pisarzy była i jest źródłem głębokich przeżyć i inwencji twórczej. Ludzie oddani idei regionalnej — by nie upodobnić

się do światowych uniformów, przekreślających wartości regionalne i narodowe — w sposób świadomy kultywują to wszystko, co jest im najbliższe, odczuwając dumę ze swego pochodzenia i własnej kultury, a także potrzebę jej utrzymania i rozwoju.

Najwybitniejsi twórcy tkwią korzeniami w kulturze ludowej. Melodie skrzypka ludowego Bartusia Obrochty były natchnieniem dla czołowych muzyków polskich z Paderewskim i Szymanowskim na czele; twórca „stylu podhalańskiego" — Stanisław Witkiewicz — szedł, mimo swej genialności, śladem podhalańskich budarzy. Gdyby Wł. Orkan nie urodził się w Porębie Wielkiej i nie znał życia miejscowych górali, w literaturze polskiej nie pojawiłyby się nigdy takie opisy losów górali gorczańskich, jakie znajdujemy w powieści „Komornicy" czy „W roztokach".

Każdy wielki pisarz mówi jedynie o tym, co naprawdę odczuwa w swoim sercu, co zna z własnych przeżyć i doświadczeń. Myśl tę chyba wyraził w „Starym człowieku i morzu" E. Hemingway w słowach: *„Znam tylko to, co sam widziałem"* (I only know what I have seen). Cała prawie twórczość S. Żeromskiego, jak to wykazali historycy literatury, inspirowana jest w jakiś sposób przez to wszystko, co przeżył on i widział w regionie świętokrzyskim. Wyrazem głębokiego przywiązania do swego regionu są opowiadania Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Na Skalnym Podhalu". W literaturze polskiej przykładów tego rodzaju jest bardzo dużo. Żaden pisarz nie może przeciąć korzeni, łączących go z ziemią ojczystą. Widać to bardzo wyraźnie w twórczości Cz. Miłosza, a wcześniej w wierszach czy poematach J. Słowackiego. To samo, oczywiście, można powiedzieć o wielkich pisarzach rosyjskich, takich jak L. Tołstoj, F. Dostojewski, M. Gogol i in., o twórcach takiego formatu jak T. Mann, J. London, I. Babel i wielu, wielu innych. Ilustracją tezy, że człowiek nie może wyjść poza krąg własnych doznań, ukształtowanych przez najbliższy region jest, na przykład, twórczość Williama Faulknera. Akcja wielu powieści i opowiadań tego pisarza dzieje się w krainie Yoknapatawpha (jest to nazwa pochodząca z języka Indian Chickasaw i znaczy „woda płynie wolno przez równinę"), posiadłości W. Faulknera, położonej w stanie Missisipi, między rzeką Tallahatchie i rzeką Yoknapatawpha. Twórczość W. Faulknera jest właściwie sagą i kroniką tej krainy i fakt ten decyduje o spoistości dzieła autora „Wielkiego lasu".

Najbardziej „europejski" twórca spośród japońskich reżyserów — Akira Kurosawa — w swoich niezwykłych i oryginalnych filmach nie może oderwać się od japońskiej kultury i legendy samurajskiej, od japońskiej moralistyki i demonologii, od tradycji, w której sztuka nie odbiega daleko od religii. Jakkolwiek wiele filmów Kurosawy ma charakter „uniwersalny", wyrastają one jednak z polityczno-społecznej i obyczajowej rzeczywistości Japonii, Kurosawa pozostaje wciąż w tym samym świecie — nigdy nie może uwolnić się od specyficznie odrębnej mentalności Japończyków. Jego genialne filmy nie zawsze są czytelne dla widza czy nawet krytyka zawodowego w Europie właśnie z tego powodu, że tkwią one głęboko w kulturze japońskiej i poetyce teatru japońskiego, że są uwikłane w bogatych złożach tej kultury, historii i tradycji teatralnej, przemieszanej z chińskimi i indyjskimi baśniami. Jeżeli nawet nie opowiadają one bezpośrednio o zdarzeniach z historii Japonii, to jednak są najczęściej ich paralelami. Nawet wtedy, gdy Kurosawa adaptuje dzieła Szekspira czy Dostojewskiego, czerpie on w dużym stopniu z dramatów i literatury rodzimej i napełnia swoje filmy symboliką japońskiego teatru *no*. Niektóre elementy tego teatru (na przykład w „Tronie we krwi") mogą być zrozumiałe tylko dla jego znawców i miłośników, niektóre sceny filmów japońskiego reżysera nie mogą być odczytane inaczej, jak tylko poprzez konwencję *no*. Wpływ elementów rodzinnych (i w tym znaczeniu regionalnych) na filmy Kurosawy widać też bardzo wyraźnie w muzyce: w jego filmach słyszymy najczęściej muzykę inspirowaną przez japoński folklor.

K. Marks pisał w swoim czasie, że na umysłach ludzi żyjących ciąży jak zmora tradycja wszystkich zmarłych pokoleń. Ale tradycja nie może być celem sama dla siebie, nie może ona uświęcać przeszłości dla samej przeszłości i nie może odcinać się od teraźniejszości i przyszłości. Takie pojmowanie tradycji byłoby czymś wstecznym i szkodliwym. Na czym wobec tego polega istota kultury regionalnej, tkwiącej korzeniami w tradycji? W jaki sposób zachować jej autentyczne wartości w nowoczesnych warunkach społeczno-cywilizacyjnych?

W obecnych czasach tradycja nie może być pustym sloganem czy też ostatnią deską ratunku dla ludzi pozbawionych inwencji twórczej — nie może ograniczać się do pobożnego wzdychania do dawnych czasów czy też zastępować na siłę teraźniejszości. Winna się ona rodzić i odradzać nieprzerwanie, być motorem nowego życia i współtworzyć je. W dzisiejszych warunkach trzeba zabiegać o powstawanie nowych wartości, dostosowanych do współczesnego świata, ale wywodzących się z tradycji przodków. Pieczołowite pielęgnowanie tradycyjnych form kultury regionalnej nie uniemożliwia rozwijania nowych czy zmodyfikowanych środków ekspresji. Myśl dawną trzeba dziś popychać na nowe tory i twórczo przekształcać. Zagrożeniem dla kultury regionalnej są dzisiaj obce wzory, przenoszone często bezkrytycznie i niepotrzebnie na naszą polską glebę i tak lekko przyswajane przez ludność miejscową. Jak to w sposób obrazowy ujmuje Kim Ir Sen: *„Koreańczycy powinni znać przede wszystkim Koreę. Trzeba wiedzieć o koreańskim granicie, a o granicie innych krajów można wiedzieć dodatkowo. Ile by się nie studiowało o granicie innych krajów, to nie będzie pożytku, jeśli się nie będzie wiedziało o koreańskim granicie"*. W równym stopniu odnosi się to, oczywiście, do Polaków i polskiej kultury, a więc do kultury regionalnej. W ten sposób doszliśmy do idei, wyrażonej w pierwszych dwóch zdaniach tego „traktatu" o regionalizmie.

□

JAN SARNA

Marek Grala

Z cyklu – „Pieśni nieba i ziemi"

XIX

w kościele z maku śpiewa złota pszczoła
ból rośnie krzykiem w otwartej ranie rzeki
stwardniał na kamień chleb, przegryzam kamień
w źle zarośniętej bliźnie krwawi los kaleki
modli się matka płaczem, łzawią jarzębiny
nacieram plecy miętą, nacieram pokrzywą
psami rany zlizuję, wypluwam krew śliny
warczę, szczekam i żyję nie prosto więc krzywo
bo to nie czas przemija, Bóg Czasu jest wieczny
w gołębim gnieździe ciszy zrodziła się żmija
Abel wczoraj zmartwychwstał i ostrzy nóż zemsty
by po latach powtórzyć krwawy gest Kaina
na gwoździu wisi Chrystus jak kiełbasa
mucha zlizuje z ciała pierwszą, gorzką pleśń
Judasz, Barabasz, Poncjusz Piłat — żywi
i wiecznie głodni — wciąż go będą jeść...

Wiersz z zestawu wyróżnionego w XIII konkursie „O Laur Świętokrzyskiej Liry Poezji"

Rys. Andrzej Grabiwoda

DUSZE UDRĘCZONE

Zbigniew Nosal

1.

W poniedziałek, trzeciego dnia stycznia 1983 roku wieczorem, młody, dwudziestopięcioletni mężczyzna, po wypiciu wódki pokłócił się z żoną na tematy seksualne i wychodząc z mieszkania powiedział, że skończy ze sobą.

Powiesił się w komórce na podwórku.

Notatki służbowe zawiadamiające o samobójczych zgonach są oschłe i powierzchowne. Zapisują imię, nazwisko, wiek, stan cywilny denata, miejsce oraz sposób jakim zadał sobie śmierć. Czasem jedno, dwa zdania komentarza. Nic więcej.

Dokładniejsze są później sporządzane protokoły z oględzin miejsca wypadku, z przesłuchań krewnych, znajomych i innych świadków mogących pomóc w ustalaniu powodów samouśmiercenia, ale one także zapisują jedynie to, co na zewnątrz. Ci, którzy odeszli, nie mogą już, niestety, nic powiedzieć. Będzie więc jeszcze, że ów młody człowiek, ojciec trójki dzieci w wieku od trzech lat do półtora miesiąca, ożenił się kilka lat temu z ich matką, kobietą, którą bardzo niechętnie widzieli synową jego rodzice, że żyło im się — przez to chyba, ale czy tylko przez to? — nie najszczęśliwiej, bo podcinali sobie już kiedyś żyły, a tamtego wieczoru zmęczona żona odmówiła mu zbliżenia. Poczuł się więc odrzucony.

Nie po raz pierwszy chyba tak się poczuł i poszedł do komórki.

Tyle, w skrócie, znajdę w protokołach dotyczących tej pierwszej w tym roku na radomskiej wsi samobójczej śmierci. I tyle, w następnych, dwudziestu dziewięciu aktach.

A następnym był uczeń ósmej klasy szkoły podstawowej, który w dziewięć dni później wracając wieczorem z wiejskiego domu kultury znalazł się w grupie rozbawionych kolegów. Nawymyślali oni brzydko jakiejś mijanej, znajomej dziewczynie, która zagroziła, że pójdzie ze skargą do rodziców i dyrektora szkoły.

Chłopiec miał stwierdzić: „dziś mi się w domu dostanie", ale nie doszedł już tam, nie starczyło mu chyba odwagi, bo zawisł na gałęzi owocowego drzewa, pięć metrów od rodzinnego domu.

W poniedziałek, 23 stycznia, znaleziono w starym korycie Radomki ciało trzydziestosiedmioletniego, urodzonego w tych stronach, ale przebywającego kędyś na wybrzeżu, człowieka, z kamieniami w kieszeniach marynarki. Utopił się. Nie miał najlepszej opinii, nie bardzo chętnie go tu przyjmowano, w rodzinnych stronach.

Styczniową listę zamyka szesnastoletni, wydalony ze szkoły zawodowej uczeń, zamieszany w jakąś kradzież. Powiesił się.

W lutym miała miejsce jedyna na radomskiej wsi śmierć samobójcza. Otruł się płynem do opryskiwania drzew po uprzednim wypiciu półlitrowej butelki wódki, dwudziestosześcioletni żonaty rolnik, pokłóciwszy się z żoną i rodzicami. Cierpiał, płakał, ale chcącym się mu przyjść z pomocą kazał wyjść z pokoju. Żona mó-

wi: „Był bardzo skryty, a ja nie mogłam mu pomóc. Współżyliśmy przeciętnie — raz lepiej, raz gorzej, jak wszyscy".

Czwartego marca, w piątek, powiesił się pięćdziesięciopięcioletni emeryt, zameldowany wprawdzie w Warszawie, gdzie mieszka jego żona, ale on sam prowadzący siedmiohektarową gospodarkę teściowej na wsi. Ostatnio był załamany psychicznie — mówi teściowa. Bardzo przejmował się gospodarką, brakiem paszy dla inwentarza, mówił do niej: „diabeł za mną chodzi". Z córką żyli w zgodzie, albo ona go odwiedzała, albo on co tydzień zaglądał do Warszawy.

Tego samego dnia, w tym samym rejonie, wyszła z domu osiemdziesięcioletnia staruszka. Znaleziono ją w trzy dni później, w studni pobliskiego opuszczonego gospodarstwa, wtedy, kiedy niedaleko stąd powiesił się lubiany przez wszystkich, cichy i spokojny, stary kawaler.

W piątek, 11 marca, znów staruszka i studnia, tyle że w innej już okolicy. Miała osiemdziesiąt dziewięć lat. Jeden z jej synów zachorował psychicznie, drugi zginął w wypadku, w Ameryce. Mawiała: „Za długo żyję. Młodzi umierają — ja zostaję. Nic tylko się utopić".

Niedzielę, 20 marca, wybrał na dzień swojej śmierci tamten pięćdziesięcioczteroletni mężczyzna, o którym rodzina mówi, że załamał się, gdy zawiadomiono go o pozbawieniu renty. Krytycznego dnia nie odpowiadał nawet na pytania i zaniechał obrządku inwentarza, a sąsiedzi dodają, że nie miał też poszanowania u żony i dzieci: „Jego obowiązkiem było dostarczanie pieniędzy i utrzymywanie rodziny. Lubił wypić, palił, dużo palił, skąd teraz miał na to wszystko wziąć?" Powiesił się, wcześniej zażywając wyłudzone w ciągu jednego dnia u trzech lekarzy nasercowe środki. W protokole: „Odrzucony przez rodzinę".

W przedostatni dzień marca zginął na torach kolejowych prowadzących do Warki, dwudziestodziewięcioletni, pijany kawaler. To nie był wypadek. Z oświadczenia prowadzącego elektrowóz wynika, że przy szybkości około czterdziestu kilometrów na godzinę spostrzegł przed sobą leżącego na szynach człowieka, ale tamten nie reagował na sygnały dźwiękowe, a hamowanie okazało się nieskuteczne.

Sześć dni później, w dwa dni po pogrzebie człowieka z toru, wypiła preparat do trucia much dwudziestoletnia dziewczyna, będąca prawdopodobnie w stanie depresji po jego śmierci. Podobno od dwóch lat odwiedzał ją czasem wieczorami. Mój Boże!

Następnego dnia, w tych samych puszczańskich stronach powiesił się pięćdziesięcioletni rolnik. Była to już jego czwarta, tym razem skuteczna próba, w ciągu ostatnich trzech lat.

Samobójcza zaraza?

W poniedziałek, 11 kwietnia wieczorem, powiesił się na pasie człowiek, któremu w pracy zabrano przepustkę upoważniającą do wejścia na teren fabryki, bo zbyt często wychodził z pracy pijany. W kwietniu powiesił się także, po siedmiu już samobójczych próbach i wyjściu ze szpitala dla psychicznie chorych, trzydziestopięcioletni mężczyzna, rolnik. Zginęła (rzuciła się?) pod kołami pociągu pijana kobieta, pozbawiona praw rodzicielskich matka dwojga dzieci.

Środa, 18 maja w nocy. Popijający od dłuższego czasu, dwudziestoczteroletni żonaty mężczyzna wstaje nagle z łóżka, wybiega z mieszkania na dwór i...

Parę dni później skoczyła do studni chora umysłowo, starsza kobieta.

W ostatnią środę maja kończy z sobą sześćdziesięcioośmioletni leczący nerwicę rolnik. Miały to spowodować niepowodzenia w gospodarce. Niedawno na przykład, wiatr pozrywał mu dach na stodole. Czy tylko wiatr? Ludzie mówią: chłop w szczególny sposób odczuwał ciągłe dogadywanie rodziny. Ostatnio dokuczali mu, że doświadczony, stary, a kupił konia z bardzo widocznymi wadami.

Listę czerwcowych śmierci otwiera dwudziestosześcioletni mężczyzna, który wypił środek owadobójczy. Dlaczego? Od piętnastego roku życia cierpiał na wypadanie ręki ze stawu barkowego, co zresztą ukrywano przed otoczeniem. Groziła mu skomplikowana operacja. Więc strach przed zabiegiem. Tylko strach? A może żal po siedmioletnim, zmarłym w przededniu siostrzeńcu, którym się w czasie choroby opiekował? Może...

Za kilka dni powiesi się pięćdziesięciotrzyletni, gospodarujący na jedenastu hektarach i mający trójkę dzieci gospodarz. Choroba wieńcowa uniemożliwiła mu normalne życie i pracę.

Żona: „Nie mógł zboleć, że nie może już robić. Mówił, że wkradnie się bieda".

A teraz?

Przesłuchani w niedzielę, 12 czerwca, w charakterze świadków mechanicy elektrowozu jadącego w kierunku Dęblina, zauważyli leżącego w poprzek szyny mężczyznę. Dawali sygnały, mężczyzna się nie podnosił. Rozpoczęli hamowanie. Na próżno.

To był częściowo sparaliżowany, mieszkający w pobliżu toru kolejarz. Miał 54 lata.

Za tydzień...

2.

Sześć miesięcy i czterdzieści sześć samobójczych śmierci, w jednym tylko radomskim województwie. I prawie wszystkie, tak, niemal wszystkie, bo aż trzydzieści — na wsi. Sześć w terenie działania Prokuratury Rejonowej w Radomiu, sześć w zasięgu Prokuratury Rejonowej z Kozienic, cztery w Przysusze, pięć w Zwoleniu i aż dziewięć w rejonie grójeckim.

Odebrało sobie życie dwudziestu dwóch mężczyzn i chłopców oraz osiem kobiet, wśród nich jedna szesnastoletnia dziewczyna.

Według stosowanej w badaniach kategorii wieku samobójców, wygląda to następująco:

do lat 20 — 3 przypadki, 21—30 lat — 9 przypadków, 31—40 lat — 3, 41—50 lat — 3, 51—60 lat —

8, 61—70 lat — 1, 71—80 lat — 2, powyżej 80 — 1 przypadek.

Jak zatem widać, najwięcej samobójstw popełnili ludzie młodzi, niejako wchodzący w dorosłe życie i ci, którzy przekroczyli już smugę cienia.

Różnie mówią, jeśliby jednak pora samobójstw miała mieć jakiekolwiek znaczenie mogę dodać, że najwięcej popełniono ich w kwietniu, potem kolejno idą marzec z czerwcem i styczeń z majem; samobójcy lubią wieczorową porę.

Wszyscy mieszkali, żyli, chociaż nie zawsze pracowali, bądź uczyli się, na wsi.

A socjologowie dalej twierdzą, że to raczej w mieście popełnia się więcej samobójstw.

Wielkie miasto — wyczytałem gdzieś — to wielka samotność. Jednostki izolowane, żyjące w warunkach rozluźnionych więzi społecznych, narażone są na destabilizację emocjonalną, a tym samym powstawanie myśli i zamiarów samobójczych.
Ale na wsi?

I jeszcze, kiedy na dodatek przyjąć, że faktycznie liczba prób samobójczych jest siedmiokrotnie, a może nawet dziesięciokrotnie większa od samobójstw dokonanych?

Radomskie stałoby się, jeżeli naprawdę jest dzisiaj w Polsce wyjątkiem, socjologicznym ewenementem. Nie jeśli idzie o liczbę samobójstw — w latach siedemdziesiątych ich nasilenie w porównaniu z innymi województwami, było raczej niskie (sto na 100 tys. mieszkańców), województwo znalazło się dopiero na trzydziestym trzecim miejscu — ale jeśli idzie o ilość samobójstw na wsi, wśród jej mieszkańców.

Dlaczego tak się dzieje, z jakich powodów? Z przyczyn społecznych, socjologicznych, czy indywidualnych?

Nie ma mi kto odpowiedzieć. Nikt, poza prowadzącymi śledztwa, aby wykluczyć możliwość fingowanych przestępstw, nie zajmuje się samobójstwami, chyba tylko wtedy, gdy trzeba samobójców pochować na poświęconym cmentarzu.

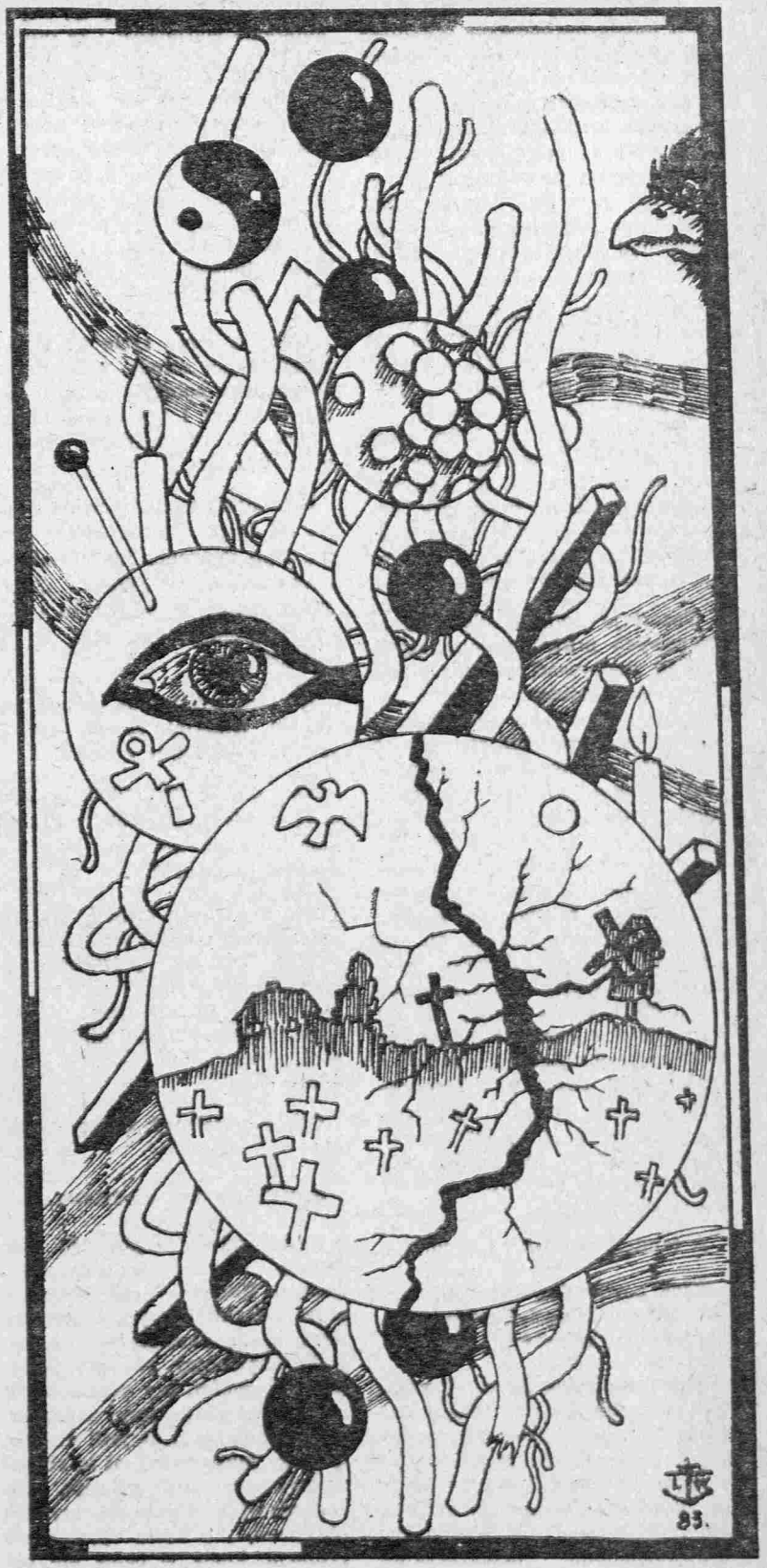

Rys. Leszek Woźnicki

Numa Tètaz, szwajcarski działacz międzynarodowych organizacji walczących z plagą samobójstw powiada, że do katastrof może prowadzić nie tylko dezintegracja, lecz także superintegracja małych społeczności, w których wszyscy mieszkają w bezpośredniej bliskości, tak że przez bezlitosną krytykę sąsiadów egzystencja prywatna staje się niemożliwa.

Może. Tak. Nawet na pewno tak, ale każde samobójstwo ma swój konkretny powód, a samobójcy swoje samobójcze biografie. Jakie one naprawdę są, nie można na podstawie kilku stronic zeznań, kilkunastu wizyt w domach, w których nie powinno się raczej mówić o sznurze, powiedzieć. Oni nie składali zeznań, nie pisali pożegnalnych listów, nie rozmawiali z reporterem.

Pozostaje stwierdzenie paru obiegowych prawd, wynikających nie ze znajomości psychiki tamtych samobójców i dokładnych ich życiorysów, ale doświadczenia i kilku ostatnich, znanych ze skąpych, zażenowanych opowiadań faktów, zdarzeń mających miejsce tuż przed ich śmiercią. Zatem, że do samobójstwa popchnęły ich różnorakie niepewności, choroby, zwłaszcza choroby psychiczne i przewlekłe, wódka, przesyt życiem, lęk, a czasem zwyczajny wstyd, jak wskazywałaby na to śmierć tej szesnastolatki, która struła się płynem do opryskiwania owoców po otrzymaniu niedostatecznej oceny z matematyki. Jeżeli to był naprawdę jedyny powód — ambicja. Bo kto zaręczy, że nie jeszcze coś, o czym nikt — ani rodzice, ani jej koleżanki, ani tym bardziej my — nie wiemy?

A tamten uczniak? I drugi?

Ktoś powiedział, że nikt kto ma silnego i kochającego ojca, nie odbierze sobie życia.

Odbierają sobie życie ojcowie. Ten odrzucony przez żonę i ów odrzucony przez rodzinę, przed którym stanęło nie tylko widmo rezygnacji z nawyków, ale przede wszystkim widmo niemożności zaspokojenia rodzinnych, prawdopodobnie przekraczających i tak już jego możliwości wymagań, także tamten, który bał się dla swoich nędzy, no, pogorszenia warunków. Czy tylko?

Skaczą w studnie stare kobiety, bo zmęczyły się długim życiem, wieszają starcy z dożywotek spędzanych wśród krewniaków, na ich łasce. Zapowiadają, albo i nie — swoje samowolne śmierci. I pozostaje do rozważenia, jak daleko jest od myślenia, słów o śmierci, do jej powołania? Kiedy powstaje decyzja?

Odbiera sobie życie po stracie ukochanego młoda dziewczyna. A dlaczego położył się na torach jej kawaler? I czy tam o miłość tylko szło, romantyczne uczucie, o nic więcej?

Zajrzałem w puszczańskie, odległe od Boga i ludzi okolice. Matka tego straceńca nie chciała ze mną mówić o miłości: „stary chłop, do pracy jeździł, tu i tam głowy pannom zawracał. Bo ja wiem?".

Nie odczuwało się w tej rozmowie wielkiej straty. Raczej spokój. Pogodzenie z losem.

Tak będzie po kilkakroć. Nie chcą o odeszłych mówić. Płaczą, albo i nie, ale nie chcą. Boją się, krępują, wstydzą?

Nie mogli, nie chcieli, czy nie potrafili im pomóc? Bo, że każdy z nas, miliony, potrzebują w chwilach zwątpień, rezygnacji i samotności jakiejkolwiek od innych pomocy, bodaj kilku słów pocieszenia i rady — nie ulega wątpliwości.

Gdzie jesteśmy? Gdzie są inni?

Samobójca jest niedaleko...

Samobójstwo — powiada znakomity znawca tematu prof. Brunon Hołyst — jest wskaźnikiem dezintegracji społeczeństwa, a nie dezintegracji osobowości samobójcy. Nie ma całkowitej pewności, czy zawsze można je zaliczyć do form zachowania dewiacyjnego. A jeśli nie ma, to może faktycznie jest to rodzaj wyboru pomiędzy sytuacją, której człowiek nie może, czy też nie umie, nie zdoła sprostać, a sytuacją, kiedy w ogóle nie będzie musiał podejmować decyzji, postanawiać.

Samobójstwo decyzją unikania wyborów.

Tam wyżej są i tego przykłady. Ale również przykłady przejawów, kiedy główną rolę odgrywa jakość życia, przykłady utraty zaufania do siebie i utraty zaufania innych, bliskich, sąsiadów. Więc kliniczne przykłady samotności.

Jeżeli, oczywiście, zebrane tu i przedstawione fakty są tymi, które rzeczywiście decydowały o wyborze, o samobójstwie, traktowanym przez jednych jak tchórzostwo i ucieczka, przez innych jako bohaterstwo, objaw całkowitej wolności i wolnej woli, przez jeszcze innych, jako forma udręczenia tych, którzy pozostali. Ale, bo ja wiem, które bardziej udręczone dusze?

Nie wiem.

Nic nie poradzę. Każda z tych informacji musi być obciążona błędem, niedokładnością, brakiem pełnej wiedzy. Nic nie wiadomo na pewno. Na pewno wiadomo, że w Polsce tempo wzrostu liczby samobójstw jest prawie czterokrotnie większe od tempa wzrostu liczby ludności i że w województwie radomskim to pierwsze przybiera na sile wśród mieszkańców wsi.

3.

Nie jestem socjologiem, nie będę sam siebie prowokował do tworzenia hipotez, których nie potrafiłbym uzasadnić. Czytam wszakże: *„samobójstwo jest wskaźnikiem dezintegracji społeczeństwa..."* Czytam i zastanawiam się, czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia z faktem, że społeczność miejska Radomskiego bardziej się ostatnio zintegrowała, a ludzkie drogi na wsi rozeszły, związki zaczęły rozpadać?

Nie wierzę w bezlitosną krytykę sąsiadów. Oni nie krytykują. Przynajmniej w oczy. Nie wtrącają się. Milczą. Czekają.

A my? Gdzie jesteśmy?

Samobójca jest niedaleko. □

ZBIGNIEW NOSAL

Portfel i dusza

Jadwiga Karolczak

SPRAWA przestała być delikatna i nie sądzę, żeby którakolwiek ze stron nią zainteresowanych czuła się dobrze. Każda też inaczej relacjonuje fakty, wobec tego, na początek, podam bez żadnych dodatkowych relacji, co się zdarzyło w środowisku radomskich artystów-plastyków. Otóż dwóch malarzy: Tadeusz Hajnrych i Edward Olszewski, od lipca tego roku poczynając, stało się monopolistami w dziedzinie nadawania okolicznościowej oprawy plastycznej co ważniejszym rocznicom i wydarzeniom. Wbrew niepisanej zasadzie, że do owej roboty obowiązuje w Radomiu utrwalona wieloletnią tradycją kolejka, której pilnowała komisja rozdziału zleceń przy niegdysiejszym Związku Polskich Artystów Plastyków.

W środowisku zagotowało się, bowiem ogólny kryzys daje się we znaki także twórcom: płótno, farby, pędzle, nawet blejtramy podrożały drastycznie, podczas gdy równie drastycznie zmniejszyła się ilość zamówień na robotę dla plastyków. Kiedyś byle fabryczną planszę informującą, że „tu pracuje się w systemie do-ro" malował wzięty artysta, a zakład płacił hojnie, bo miał z czego. Dzisiaj trzeba żyć ze sztuki, a to najłatwiejsze nie jest. To znaczy — żyje się, ale jakby na huśtawce: kupią mi obraz, czy nie kupią? Toteż gwarantowane umową zlecenie jawi się na kształt twardego gruntu pod nogami. Ma walor stabilizacji finansowej tym bardziej, że praca jest na ogół dobrze płatna. Taki zastrzyk pieniędzy pozwala złapać równowagę w chwiejnej sytuacji materialnej, przegania demony niepewności, zagrażające wrażliwej duszy twórcy.

W tym miejscu godzi się wyjaśnić, iż po przejrzeniu dochodów radomskich artystów-plastyków upewniłam się, że nie zagrażają im złowieszcze demony, wyjąwszy kilka istotnie drastycznych sytuacji. Jest to więc trochę lęk na zapas, czemu trudno się dziwić. W ubiegłych latach, rokrocznie było po około stu zleceń, w tym roku jest ich siedemnaście. Stają się więc kością niezgody, wywołują wielkie namiętności, napędzając przy okazji sporo brudnej wody na młyn plotek, domysłów, wzajemnych oskarżeń.

Krzysztof Mańczyński, malarz wzięty i ceniony powiada, że jest kilka miast w Polsce o wybitnie smrodliwej atmosferze. Zalicza do nich także Radom, zamyślając się nad groźną ofensywą prostactwa.

— Żyję z tego, co sprzedam. Owszem, do niedawna robiłem także dekoracje miejskie, no ale tę działkę zmonopolizowało dwóch panów. Nie naruszyli żadnego prawa, nie uchybili w niczym przepisom. Ale jest jeszcze coś takiego jak etyka zawodowa. Oczywiście — można powiedzieć: po cholerę mi etyka, wystarczą pieniądze. Przetrwam ciężkie czasy, choćby cudzym kosztem. Tyle, że stąd już blisko do zdziczenia obyczajów.

— Co ja robię? Dużo maluję. Te czasy, wbrew pozorom, sprzyjają malowaniu. Do wystawiania w Radomiu specjalnie się nie pcham. Szczególnie od momentu, gdy na „Przedwiośniu" w Kielcach wziąłem pierwszą nagrodę, a w Radomiu z jakichś bliżej mi nieznanych względów — zabrakło miejsca dla nagrodzonego obrazu na tutejszej wystawie. Nie mam nigdzie etatu, nie dostaję paczek z zagranicy, nie korzystam z pomocy charytatywnej. Sprzedaję obrazki. Przeżyję. Ale kondycja artysty i związana z nią kondycja sztuki — są co najmniej dziwne.

Andrzej Minajew też sprzedaje obrazy. Uprawia grafikę, nie skarży się na brak środków do życia, co nie oznacza automatycznej akceptacji dzisiejszego statusu twórcy.

— Przede wszystkim — powiada — artysta musi mieć spokój tworzenia i elementarne zabezpieczenie materialne. Powtarzam: nie chcę narzekać. Ale wyraźnie brakuje mecenasa, który zwolniłby twórcę od uciążliwej walki o wszystko: o pieniądze na katalog wystawy, o wydrukowanie tego katalogu, o plakat. W końcu to się załatwia, ale zabiegi są niewspółmiernie duże w porównaniu z rezultatami. Zaryzykuję twierdzenie, że dzisiaj prawdziwego mecenatu w ogóle nie ma. Nikt nie porozumiewa się z prawdziwymi artystami. Panuje pomieszanie pojęć: ładuje się do jednego worka tak zwanego twórcę ludowego, amatora i zawodowca. A przecież nasza sytuacja pod każdym względem jest zupełnie inna.

— To jest jedno wielkie nieporozumienie — wtrąca Krzysztof

Mańczyński. — Wszystko wskazuje na to, że prawdziwych twórców ludowych jest w Polsce kilkudziesięciu. Powtarzam — prawdziwych. Reszta to hobbiści, którzy poza tym są rolnikami, albo mają jakiś inny zawód. Proszę pani: wraz z uprzemysłowieniem sztuka ludowa musiała się skończyć. Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Tak jest na całym świecie. Sztuka ludowa to nie zręby współczesnej sztuki narodowej, ale zaledwie jeden z jej motywów. Ci liczni twórcy świątków, postaci z jasełek i czego tam jeszcze, to w istocie producenci ludowi. Wystarczy wejść do „Cepelii". Ale — paradoks — owi „twórcy" dostają na plenery surowiec za darmo, a my jeździmy z własnym. Oni mają stypendium plenerowe dziewięć tysięcy złotych, my — pięć.

— Nie mówiąc już o tym, że uparcie myli się sztukę z propagandą, co wyrządza szkodę i jednej, i drugiej — wtrąca Longin Pińkowski. — To jest naprawdę chaos, a w chaosie niewiele dobrego można zrobić. Ja chwilowo w ogóle zrezygnowałem z malowania. Jestem na etacie za dziewięć i pół tysiąca złotych w Wojewódzkim Domu Kultury jako starszy instruktor do spraw plastyki. Ale praca etatowa, jeśli ją wykonywać solidnie, niejako wyklucza twórczość własną. Staram się odnaleźć satysfakcję w tym, co robię z amatorami-plastykami, a jest wśród nich wiele autentycznych talentów. I staram się propagować prawdziwą sztukę. Taka potrzeba była od dawna, jest i dzisiaj. Krąg zainteresowanych okazał się niewielki.

To prawda. O ile w pewnych grupach wytwarzały się różne, stosowne do kondycji społecznej snobizmy, o tyle zdrowego snobizmu „na sztukę" nie udało się wywołać. Była moda na polowania, na „chatę za wsią", na ozdóbki z „Cepelii". Ale obrazy? Kiepskiej jakości reprodukcje miały być dobre na wszystko dla tak zwanych mas, które nie wiedziały nawet gdzie i u kogo można kupić obraz, jaki jest wybór, wedle gustu, rzecz jasna. Faktem jest także, że artyści nie ubolewali nad tym tak żałośnie, dokąd zakłady pracy kupowały ich dzieła niejako z urzędu, a chałtury sypały się niczym z rogu obfitości.

— Ci, co interesują się sztuką — na ogół nie mają pieniędzy — konkluduje pesymistycznie Krzysztof Mańczyński. — Obraz stanowi nader często lokatę kapitału, a nie przedmiot estetycznych potrzeb.

Przy takim obrocie rzeczy wrażliwa dusza artysty wystawiona jest na cierpienia, bowiem świadomość, że jego obrazy stoją starannie opakowane za szafą pożal się Boże — kolekcjonera, nie może być zadośćuczynieniem za męki twórcze. Rodzi się też obawa, że owi „kolekcjonerzy" przerzucą się gwałtownie na zielone obrazki z konterfektem Waszyngtona, albo szlachetne metale. Cierpi dusza, portfel niepewny. Stąd zlecenia na robotę uciążliwą, ale pewną, taką jak choćby dekoracja miasta „ku czci" są wyczekiwane i cenione.

— Ja też dwukrotnie wykonywałem takie prace — wspomina Andrzej Minajew — ale zawsze dobierałem do nich kolegów. Z kolejnych zleceń rezygnowałem, zgodnie z przyjętą zasadą. Jej złamanie nie jest przestępstwem, ale tak się po prostu nie robi. Co mają powiedzieć młodzi koledzy, jak zarobić na tę prawdziwą sztukę, nie mówiąc już o codziennym życiu? Weźmy małżeństwo Popławskich. „Pokazali się", są interesującymi malarzami i grafikami. No i co z tego mają, jak żyją?

Bożena Popławska wylicza skrupulatnie z czego żyją. Ona, mąż i troje dzieci. Otóż z rekompensat, to znaczy za sześć tysięcy siedemset złotych.

— Tyle na jedzenie. Z ołówkiem w ręku i nieprzekraczalnymi rygorami. Z tym, że od trzech miesięcy rekompensat nie otrzymujemy, bo przejęło je Przedsiębiorstwo Państwowe „Sztuka Polska", a ono właśnie się organizuje. Poza tym sprzedajemy obrazy i to jest uczciwie prowadzone przez władze kulturalne. Z każdej wystawy coś się sprzeda. Ostatni większy zarobek przeznaczyliśmy na zakup prasy graficznej, bo trzeba myśleć o przyszłości.

— Jeśli mowa o pracach zleconych: moja kolej przypadnie w maju przyszłego roku. Ale nie zamierzamy czekać z założonymi rękami. Jest bardzo ciężko, to fakt, przecież trzeba sobie radzić. Nastawiamy się na malowanie obrazów na zamówienie, na portrety. Od mniej więcej dwu lat wytworzyła się moda na portret.

Nie ma potrzeby sięgania w odległą historię malarstwa, żeby wymieniać tych wielkich twórców, którzy żyli z portretowania. Wystarczy przypomnieć przedwojenną pracownię Witkacego w Zakopanem. Powstawały tam zarówno szokujące obrazy — dokumenty specyficznej wyobraźni i wielkiego talentu malarza, jak również interesujące portrety na zamówienie. W niczym nie umniejszały wielkości artysty, natomiast wyraźnie zasilały jego kieszeń.

— Jak żyjemy? — zastanawia się Bożena Popławska. — Podam pani taki przykład: zepsuł się kineskop w telewizorze, poprosiliśmy fachowca. To teraz dużo kosztuje, ale on powiedział, że chętnie nareperuje telewizor za obraz, który wspólnie wybraliśmy. Podobnie było z remontem łazienki. Oczywiście — ten, kto robi plansze, dekoracje okolicznościowe, zarabia i na życie, i na sztukę. Ale trzeba iść także na jakiś kompromis. Praca przy planszach jest bardzo ciężka, a satysfakcja właściwie tylko finansowa. Z kolei kompromis artystyczny polega na tym, że maluję najlepiej jak potrafię to, czego życzy sobie klient.

— Ten kołowrotek ze zleceniami rozkręcił się niedawno. Pracowałam kiedyś z kolegą Olszewskim dwukrotnie i wspominam to z satysfakcją. Nigdy nie miał skłonności do zgarniania do siebie; wręcz przeciwnie. Aż tu nagle „w kolejkę", w miejsce Witolda Kowalskiego wszedł właśnie Olek Olszewski z panem Hajnrychem. I zrobili wszystko we dwóch do końca roku. Bez żadnego uprzedzenia kogokolwiek, bez udziału komisji do spraw podziału pracy. Teraz znów jest inna komisja i nie bardzo wiemy dlaczego akurat taka, bo koledzy, na przykład Wiesiek Jelonek, pracowali w tej poprzedniej bardzo uczciwie. A w tej nowej Wieśka nie ma. Dlaczego? Z nami nikt nie rozmawia. Stajemy wobec faktów dokonanych.

— Bez przesady, przeżyjemy. Ale mogłoby się obyć bez konfliktów, gdyby chociaż znalazł się pośrednik w sprzedaży tego, co robimy. Biuro Wystaw Arty-

stycznych nie ma takich możliwości, pozostaje „Desa" i witryna malarska przy ulicy Żeromskiego. Tam po kolei każdy ma wystawę, więc się tego trzymamy. Tego i zakupów wojewódzkich i miejskich władz kulturalnych po plenerach i warsztatach artystycznych. Mąż miał też propozycję pracy w szkole gminnej. Na zastępstwach, bez zasiłków rodzinnych, za to z dojazdami, które bez własnego samochodu byłyby bardzo uciążliwe. Zrezygnował. Musimy, chcemy i możemy zarobić na życie sztuką. Myślę, że to się uda.

Sporo w tej sprawie ma do zrobienia powołane w sierpniu tego roku PP „Sztuka Polska". Jego dyrektor, Janusz Kępa niewiele więcej ma do powiedzenia ponad to, że zleceń na prace dla artystów jest coraz mniej. Na tym tle przejęcie wszystkich do końca roku przez dwu — wydaje mu się niezbyt lojalne wobec reszty środowiska.

— Zasada jest taka — tłumaczy — że kierownik artystyczny, a był nim Tadeusz Hajnrych, nie przyjmuje zleceń bezimiennych. Tymczasem przyjął. Nasza firma nie chciała zapłacić tak wygórowanej kwoty, jaka wynikała z oferty, więc zlecenie zostało przeniesione do Pracowni Sztuk Plastycznych w Kielcach. Jak się to stało, że do końca roku dwóch ludzi robi całą „okolicznościową", propagandową oprawę plastyczną dla Radomia — tego nie wiem. W kolejce czeka nie tak znów wielu, bo około dwudziestu kolegów. Reszta nie interesuje się pracami zleconymi.

Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki radomskiego Urzędu Wojewódzkiego — Zdzisław Gawroński powtarza raz jeszcze, że zleceń jest mało. Zakłady pracy nie kupują, nie wyciągają rąk po artystów, co nie znaczy, że pracy w ogóle nie ma. Znalazłaby się w szkolnictwie, były dwa etaty w BWA. Wykorzystały je absolwentki liceów plastycznych, malarze jakoś się nie garnęli.

— Myślę — mówi dyrektor Gawroński — że nie odpowiada im etatowy reżim. Są indywidualistami. Nie twierdzę, że wiedzie im się znakomicie, że zrobiliśmy wszystko, żeby zadowolić ich ambicje twórcze i potrzeby bytowe, ale oni sami też nie bardzo zabiegają o swój los artystyczny i życie. Organizujemy, wspólnie z Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego plenery, są warsztaty twórcze, a po nich sprzedaż. Zakupy z wystaw poplenerowych sięgają sporych sum, zawsze z sześcioma zerami. Ale nie możemy kupować bez sensu, do magazynów. Zobowiązaliśmy ostatnio muzeum do pokaźniejszych zakupów. To jest najpoważniejszy partner.

Rys. Krzysztof Jackowski

— Zamiarów było dużo. Chcieliśmy, żeby plastycy projektowali wystrój estetyczny budynków i osiedli w mieście. To nie wychodzi, brakuje pieniędzy. Rozważamy możliwość utworzenia stypendium z funduszu wojewody radomskiego. Tylko co to jest — sześć tysięcy złotych miesięcznie? Aukcje nie wypadły dobrze. Funkcje marszanda ma przejąć BWA, tylko na razie brak ku temu podstaw prawnych. Są wystawy środowiskowe i indywidualne. Niby można sprzedać i kupić. Tylko kto kupuje? A zresztą — nie każdy ma wzięcie. Popławska, na przykład, nie ma.

Bez wątpienia dyrektor Gawroński ma rację utrzymując, iż nie wykorzystano wielu możliwości dania należytej satysfakcji artystom. Myli się jednak, że obrazów Popławskiej nikt nie chce kupować. Z informacją u nas nigdy dobrze nie było i nadal jest kiepsko co sprawia, że obraz egzystencji i potrzeb wielu środowisk jest nieco skrzywiony. Z wypowiedzi Aleksandra Olszewskiego na posiedzeniu Rady Plastyki wynika, że grupa radomskich artystów jest jakby wyizolowana od „reszty świata".

— Wciąż jesteśmy tylko u siebie. Chodzi o to, żeby nasze wystawy, nasze prace były pokazywane w innych środowiskach w kraju — mówi nie bez racji Aleksander Olszewski. Bo jeśli dzisiaj nestor malarzy radomskich, Edward Kiełtyka nie sprzeda obrazu w Radomiu, to go nie sprzeda nigdzie. A nadal maluje świetnie. Może kupiłby ktoś we Wrocławiu, Gdańsku, Lublinie? Doprawdy, potrzebny jest energiczny mecenas.

— Tu, jeśli o nas coś piszą, to na ogół jednakowo — snuje swą refleksję Olszewski. — Po prostu: sami swoi.

W takim hermetycznym garnku warzy się niekoniecznie smaczna strawa. Teraz trzeba ją jakoś zjeść. Z zestawienia zleceń PP „Sztuka Polska" wynika, że z wyjątkiem tych, którzy programowo nie przyjmują zleceń — zarobki za dziewięć miesięcy tego roku wahają się od sześciu tysięcy złotych (przypadek skrajny) do dwustu sześciu tysięcy złotych. Nie jest w to wliczona prywatna sprzedaż obrazów; zresztą sprzedaje się z różnym powodzeniem.

Tadeusz Hajnrych utrzymuje, że maluje „brzydkie" obrazy. Nie mnie je oceniać, w każdym razie na pewno chętniej się powiesi na ścianie nadwiślański pejzażyk, niż zaskakującą impresję Hajnrycha. No, ale kiedyś nikt nie ważył się powiesić na ścianie Modiglianiego, van Gogha czy Seurata. Brak powodzenia u tak zwanej publiczności to jeszcze żaden argument artystyczny, co najwyżej zagrożenie klapą finansową. Tadeusz Hajnrych twierdzi, że nie złamał kodeksu środowiskowego przyjmując zlecenia, z którymi narobiło się nagle tyle szumu.

— Wolałbym tego wcale nie mówić, bo nie lubię mówić źle o kolegach. Wzięliśmy z Olkiem Olszewskim robotę w lipcu, ponieważ przyszła nasza kolej. I wtedy zleceniodawcy — Komitet Wojewódzki i Komitet Miejski partii — zażyczyli sobie, żebyśmy jeszcze robili plansze na czterdziestolecie Ludowego Wojska Polskiego i rocznicę Rewolucji Październikowej, My, właśnie my, a nie kto inny. Może dlatego, że się podobało, może dlatego, że nigdy nie nawaliliśmy z robotą? To było bardzo konkretne zamówienie dla nas, a nie bezimienne. W przyszłym roku nie weźmiemy żadnego zlecenia, wszystko zrobią koledzy według ustalonej kolejności. Wiem, że teraz są rozgoryczeni, bo im uciekła praca. Ale to nie jest dyskryminacja. Natomiast jak ocenić fakt, że Wydział Kultury radomskiego Urzędu Miejskiego odmawia mi prawa uczestniczenia w plenerze z taką oto motywacją, że odebrałem pracę innym, to teraz mam siedzieć nie w Kazimierzu nad Wisłą, ale w Radomiu. Za karę.

— Mam swoje lata, ciężko pracowałem na nazwisko, mam też doświadczenie. Wiem, że niektórzy koledzy z niejakim wsparciem instytucjonalnym będą robili wszystko, żeby mnie zniszczyć. Nie piję z nimi, nie mam takiego towarzyskiego wzięcia jak oni. Powiadają — zmonopolizowałem zlecenia „okolicznościowe". A kto zmonopolizował grafikę? Powiadają — celowo przeniosłem zlecenie do kieleckich PSP. Nieprawda. To był czas, kiedy „Art" przekształcał się w PP „Sztuka Polska" i nie kto inny, ale „Art" właśnie, tłumacząc się reorganizacją, wskazał mi kielecką placówkę.

— Czy pani wie, ile moich obrazów w ciągu ostatnich kilku lat kupił Wydział Kultury Urzędu Miejskiego? Jeden. No, ja bez wątpienia nie jestem rozpieszczany. Inni mają stałe zakupy. Ratuje mnie trochę Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Ale jak mówię — maluję „brzydkie" obrazy i muszę mimo to żyć.

Portfel dręczy duszę. Każdy musi żyć, a kto naznaczony talentem — chce i powinien zrobić z niego użytek. I Edward Kiełtyka, który wreszcie ma załatwione obiady w Polskim Komitecie Pomocy Społecznej, a stypendium wyszarpane przez BWA spodziewa się, że — być może — wystarczy mu od pierwszego do pierwszego. I Tadeusz Hajnrych malujący „brzydkie" obrazy, i Andrzej Minajew nie narzekający na brak klienteli. Każdy ma swój portfel i swoją artystyczną duszę. Każdy wie lepiej ode mnie ile ma w portfelu i co mu „w duszy gra". W Radomiu echo tego grania — gdzieby ucha nie przyłożyć — brzmi nie dość czysto, żeby się chciało dłużej słuchać. No, chyba, że jest się mecenasem, ale to całkiem inna sprawa. □

JADWIGA KAROLCZAK

PS. Na zebraniu w dniu dwunastym października Tadeusz Hajnrych przestał pełnić funkcję doradcy artystycznego PP „Sztuka Polska". Poinformował mnie o tym telefonicznie i zabrzmiało to bardzo gorzko: — po tylu latach pracy... Tadeusz Hajnrych, Wiesław Jelonek, kto następny? A może rację miał Mańczyński, że coś śmierdzi?

...i gwiazdy spadać będą z nieba...

Julita Twardowska

Oczekują. Czasu końca i chwalebnego powrotu Obiecanego. Tej chwili, gdy „słońce się zaćmi i księżyc nie zajaśnieje swoim blaskiem i gwiazdy spadać będą z nieba i moce niebieskie będą poruszone". Adwent, znaczy — oczekiwanie. Wszystko się łączy z oczekiwaniem. I obserwacją znaków czasu. I przepowiednią o bliskim kresie cywilizacji ziemskiej.

TO nie my przepowiadamy — mówi pastor Franciszek Micherda. — Z proroctw biblijnych wynika i znaki czasu wyraźnie ostrzegają, że weszliśmy w końcowe dni historii naszej Ziemi.

— Wielu twierdzi, że świat zmierza ku własnej zagładzie i wielu ostrzega przed wizją totalnej katastrofy...

— Na próżno. Finał wszech rzeczy jest nieunikniony. Tylko że dla nas, adwentystów dnia siódmego, to żadna katastrofa. My czekamy na powtórne przyjście Chrystusa. Z nadzieją na zmartwychwstanie i życie wieczne. Chrystus przyjdzie w chwili największego zagrożenia naszej cywilizacji, wtedy, gdy nieprawość ludzka pod każdym względem osiągnie szczyty. Tak jest powiedziane w Piśmie Świętym.

— Ale mieliście już jedną nieudaną próbę przepowiedni — bardzo konkretnej, z ustaleniem terminu. Na początku ubiegłego stulecia niejaki William Miller — opierając się właśnie na Biblii — dokładnie wyliczył, że koniec świata nastąpi w 1844 roku. No i gdzieś się musiał pomylić. Świat, choć mocno zachwiany, ale jeszcze po dzień dzisiejszy trwa.

— Trzeba najpierw wyjaśnić, że Miller niezupełnie był jednym spośród nas, bo jeszcze wtedy Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego nie było. Dał natomiast początek w Stanach Zjednoczonych ruchowi drugiego adwentu, dzięki któremu ożyła na nowo wiara w powtórne przyjście Chrystusa. Miller zainteresował się proroctwami, szczególnie z ksiąg Daniela i Objawienia. Zaczął je studiować, dokonał szczegółowych obliczeń, prawidłowo określając początek i prawidłowo przyjmując dzień za rok...

— Jeśli on się nie pomylił, to zawiodła prorocza rachuba?

— Nie, bo przecież Biblia nigdzie nie przepowiadała, że Chrystus przyjdzie w 1844 roku. Miller nie zwrócił uwagi, że po słowach: *„...aż do dwóch tysięcy i trzech set wieczorów i poranków"*, następują słowa: *„wtedy przyjdą do odnowienia swego usługi święte"*. Właśnie na to wydarzenie wskazywało proroctwo. Na odnowienie usług świętych.

Miller nie był adwentystą, niemniej zawód, jaki przeżył wraz ze stutysięczną rzeszą swoich zwolenników, przeszedł do historii ruchu adwentowego pod nazwą „wielkiego rozczarowania". A rok 1844 wyznaczył adwentyzmowi początek. Już dwa miesiące po „wielkim rozczarowaniu" nieliczna grupie nadal wierzących w powtórne przyjście Chrystusa, jak z nieba spadła wizjonerka Ellen Gould White, która wówczas nosiła jeszcze panieńskie nazwisko Harmon. Jej pierwsze widzenie dodało ludziom otuchy. Następne, a dość liczne, inspirowały do działania.

Pani White — obdarzona, jak twierdzą adwentyści, charyzmatem proroczym — była osobą bez wykształcenia. Ukończyła zaledwie trzy klasy szkoły podstawowej, ale do dziś traktuje się ją jako jedną z najbardziej płodnych pisarek świata. Całość dorobku publicystycznego Ellen G. White (podaję za Piotrem Gradzikiewiczem: „Chrześcijanin a zdrowie") obejmuje ponad 100.000 stron druku, na co składa się 53 książki, 4600 artykułów, 200 broszur i traktatów, 6000 listów i innych dokumentów. Z reguły jest to efekt widzeń i rozmów z samym Panem Bogiem.

Dziewiętnaście lat po „wielkim rozczarowaniu" powstała Generalna Konferencja, będąca naczelną instytucją adwentystów. Początkowa działalność Kościoła ograniczała się do terytorium Ameryki Północnej. Pod koniec XIX wieku „poselstwo adwentystyczne" dotarło do niemal wszystkich krajów Europy, a głównym inicjatorem tej misji był Polak, eks-kapłan rzymskokatolicki, franciszkanin, Michał Belina Czechowski.

* * *

Dom u zbiegu ulic Moniuszki i Traugutta w Radomiu. „Kaplica

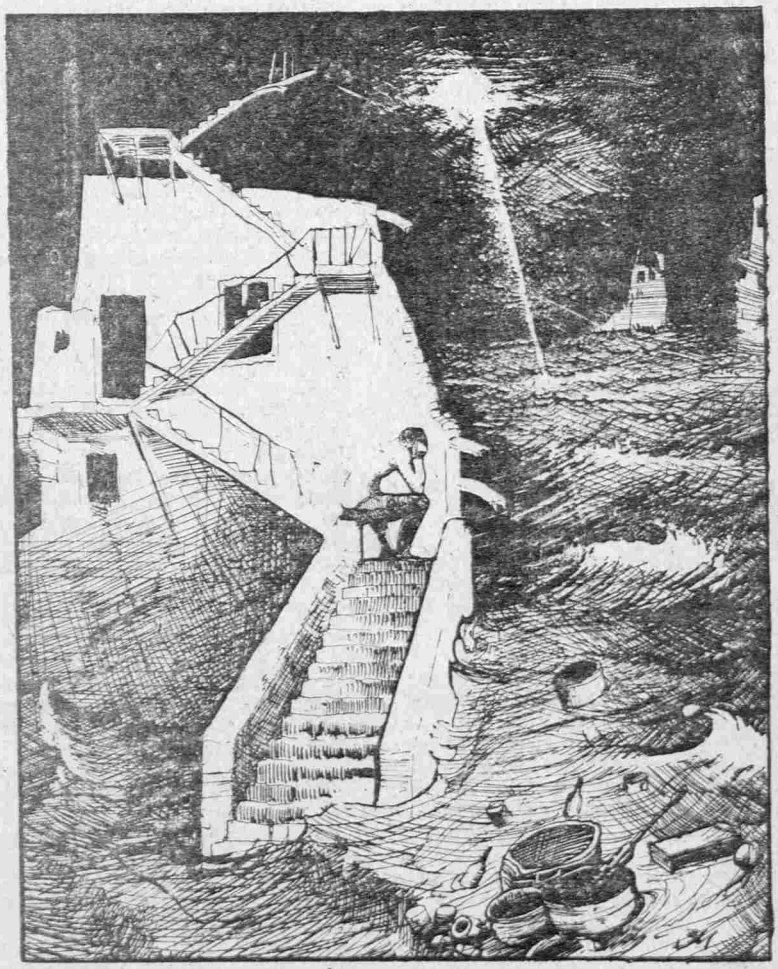

Rys. Mirosław Siara

Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego" — głosi tabliczka, a obok w gablocie plansze informujące o sobotnim nabożeństwie, o niedzielnym odczycie, o audycjach radiowych" Głos nadziei".

Od pięciu lat funkcję pastora radomskiego zboru pełni — po swoim poprzedniku, który wyemigrował do Szwajcarii — pastor Franciszek Micherda. I mieszka w tym samym domu, na piętrze, wraz z żoną, córką i synkiem.

Pochodzi z Tresnej pod Żywcem. Z rodziny wielodzietnej i początkowo katolickiej. Pierwszy zmienił wyznanie ojciec.

— Nas było dziesięcioro do stołu, a pola niewielki kawałek, więc kiedy ludzie ruszyli na zarobek za ocean, zabrał się i ojciec. Kawał świata zwiedził. Był w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie. Cztery razy jechał i cztery razy wracał. Tam, za oceanem, nie poszedł nigdy do innego kościoła, był gorliwym katolikiem, nosił szkaplerz, do kraju przywiózł katolicką Biblię... Dopiero tu, kiedyś, oburzyło go kazanie księdza. Szczegółów już nawet nie pamiętam, ale to był początek. Ojciec zetknął się najpierw z badaczami Pisma Świętego, pojechał do Kóz — takiej miejscowości między Bielskiem a Wadowicami — przysłuchiwał się, nawet ich pismo „Złoty Wiek" przywiózł, ale coś mu tam nie pasowało. Potem spotkał sympatyków Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w Łodygowicach, odległych pięć kilometrów od Tresnej. Tam ojciec pracował w Fabryce Mebli Giętych.

— Po kilku wizytach, po spotkaniu z duchownym zapadła decyzja. Ojciec przyjął chrzest, przez zanurzenie w wodzie. Nawiasem mówiąc, ja w tym samym czasie szedłem do spowiedzi, a moja starsza siostra do bierzmowania. Mama, gorliwa katoliczka, była z początku przerażona, dziadek mówił: „heretyk". Nadchodzi sobota, a tu ojciec zamiast iść do pracy, wkłada odświętny garnitur i wybiera się do Łodygowic. Nie do fabryki, tylko na nabożeństwo adwentystów. Kiedyś mama schowała w stodole ten garnitur, ale to nie na wiele się zdało. I ona zaczęła szukać prawdy. Słabo czytała, bo tylko dwie zimy chodziła do jakiegoś nauczyciela, ale coraz częściej zaczęła sięgać po Pismo Święte. I po kilku latach też stała się wyznawcą Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Podobnie jak reszta rodziny, z wyjątkiem dwóch braci, którzy wcześniej wyjechali z domu i znaleźli się poza wpływami. My, młodsi, jesteśmy adwentystami do dziś. Ja zostałem duchownym, przeszedłem wszystkie szczeble: od młodszego duchownego do kaznodziei ordynowanego.

* * *

„Odpowiada nam tylko taka nazwa, która jest zgodna z naszym wyznaniem, wyraża naszą wiarę i określa nas jako lud osobliwy. Nazwa „Adwentyści Dnia Siódmego" jest stałą naganą dla świata protestanckiego. Nazwa ta jest herbem naszej wiary i przekonuje wnikliwy umysł" — pisała Ellen G. White.

Mój umysł (nie dość wnikliwy) domaga się uściśleń. Dlaczego nazywają się „ludem osobliwym" — mogę zrozumieć. Dlaczego adwentystami — rozumiem. Ale dlaczego akurat „dnia siódmego"?

— Głoszone przez nasz Kościół doktryny odpowiadają naukom wyznawanym przez chrześcijaństwo czasów apostolskich — mówi pastor Franciszek Micherda. — Powróciliśmy do wszystkich praw bożego dekalogu, łącznie z przykazaniem czwartym, nakazującym święcenie soboty jako dnia Pańskiego.

I okazuje się, że istnieją dwie wersje dekalogu. W wersji biblijnej, uznawanej przez adwentystów, czwarte przykazanie brzmi: *„Pamiętaj, abyś dzień sobotni święcił. Sześć dni robić będziesz i będziesz wykonywał wszystkie roboty twoje, ale dnia siódmego sabat Pana, Boga Twego, jest; nie będziesz wykonywał weń żadnej roboty, ty i syn twój i córka twoja, sługa twój i służebnica twoja, bydlę twoje i gość, który jest między bramami twymi. Przez sześć dni bowiem uczynił Pan niebo i ziemię i morze i wszystko, co w nim jest, a odpoczął dnia siódmego, dlatego pobłogosławił Pan dniowi sobotniemu i poświęcił go".*

Tymczasem świat chrześcijański, w ogromnej większości, uznaje za dzień kultu religijnego niedzielę. Aby mi udowodnić, skąd to się wzięło, pastor Micherda przynosi książkę profesora Aleksandra Krawczuka: „Konstantyn Wielki" i na stronach 189—190 znajduje odpowiednie fragmenty: *„Edykt Konstantyna z roku 321 postanawia: Czcigodny dzień Słońca „venerabilis dies Solis" winien być wolny"*, a dalej: *„można rzec bez przesady, że edykt Konstantyna obowiązuje w większości krajów świata po dzień dzisiejszy. Otóż bowiem „dies Solis" to oczywiście nasza niedziela".*

Dla adwentystów dzień święty — przeznaczony na studiowanie Biblii, dyskusje religijne, rozmyślania — zaczyna się od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę, zgodnie z biblijną rachubą. Dzień święty wyklucza jakąkolwiek pracę.

— Jak sobie radziliście, kiedy nie było ustawowo wolnych sobót?

— Staraliśmy się i staramy szukać pracy w takim zakładzie, gdzie jest system zmianowy. Zawsze można się zamienić z kolegą na niedzielę. A nauka w szkole? Ja poszedłem do dyrektorki, wytłumaczyłem, dlaczego moja córka nie będzie mogła przychodzić w soboty i zobowiązałem się, że wszystkie zaległości zostaną uzupełnione. Dyrektorka wyraziła zgodę.

* * *

Kaplica przypomina bardziej salę odczytową niż miejsce religijnych spotkań. Podium z mównicą, stołem, niżej rzędy krzeseł, ściany zupełnie puste. Ani jednego obrazu, żadnego symbolu wiary.

— My nie czcimy przedmiotów — mówi pastor Micherda. — W drugim przykazaniu dekalogu biblijnego powiedziane jest: *„Nie uczynisz sobie obrazu rytego ani podobizny tego, co jest na niebie, w górze i co na ziemi nisko, ani tych rzeczy, które są w wodach i pod ziemią...".* To przykazanie zostało w dekalogu katechizmowym usunięte, podobnie jak czwarte. Kult świętych? Przecież święci to nie są jacyś nadludzie. Świętym powinien być każdy chrześcijanin, wolny od zła.

— Piękna idea, tylko o powszechną doskonałość tak trudno na tym marnym świecie.

— Toteż nie wszyscy będą wybrani. Bóg dał ludziom dwie drogi: jedną na zbawienie, drugą na zatracenie. Celem adwentystów jest uświęcenie wierzących. Mamy zwracać uwagę ludzkości na konieczność osobistego przygotowania się na spotkanie z Panem.

— Uważacie się więc rzeczywiście za „lud osobliwy", społecz-

ność wyjątkową, bo mającą wyjątkową misję do spełnienia. I niebo pisane tylko wam?

— Mówiłem, że jedynie niektórzy będą wybrani. Dla nas podstawą nauki, jedynym źródłem zasad, jest Pismo Święte. Na nim się opieramy, z niego wszystko czerpiemy. Naszą wiarę, doktryny naszego Kościoła, sposób życia.

— Czy dużo różnic doktrynalnych dzieli was z innymi kościołami?

— Sporo. My nie uznajemy na przykład nieśmiertelności duszy. To diabeł wygłosił w raju pierwsze kazanie na ten temat. To było pierwsze kłamstwo, którym szatan opętał człowieka. Słowo „dusza" wymienione jest setki razy w Piśmie Świętym, ale nigdy z dodatkiem „nieśmiertelna". Jest powiedziane: *...„i stał się człowiek duszą żyjącą"*, tylko że tu nie chodzi o żadną istotę astralną. Słowo „dusza" oznacza po prostu istotę żywą i jest używane w Piśmie nie tylko w odniesieniu do człowieka, ale i zwierząt: *„a wszelka dusza zdechła w nim"*, czyli w Nilu, gdy mowa o plagach.

— A więc i waszym zdaniem nie ma „życia po życiu"? Śmierć kończy wszystko?

— Człowiek musi umrzeć. To jest prosty rachunek: glina plus życie równa się dusza żyjąca. Czyli: dusza żyjąca minus życie równa się glina. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Ale Bóg, który stworzył człowieka — czy nie ma możliwości drugi raz to samo zrobić z tej samej materii?

Wkroczyliśmy w rejony tak wysokie, że nie potrafiłabym tam szukać odpowiedzi. Zresztą zajął mi myśli rachunek: „glina plus życie". Nie wiem dlaczego, kojarzy mi się on nieodparcie ze sławetnym zadaniem logicznym o „półżywym" i „półumarłym".

* * *

Na sobotnie nabożeństwo przyszło około czterdziestu osób. Mniej więcej tylu wiernych liczy radomski zbór. Młodzieży i dzieci niewiele.

Pierwszą część nabożeństwa prowadzą na przemian: brat Tadeusz, brat Jan i brat Sławek.

— Najpierw przeprowadzimy lekcję powtórzeniową — mówi brat Tadeusz. — Proszę powiedzieć: z kim Bóg zawarł przymierze i jakie są wa...?

— ...runki — kończy sala zgodnym chórem.

A pani w żółtym swetrze podnosi rękę i pierwsza zgłasza się do odpowiedzi.

— Dobrze — chwali brat Tadeusz. — A teraz kolejne pytanie. Dlaczego Bóg karze, choć jest dobry?

Kilka rąk w górze, ale pani w żółtym swetrze wyprzedza wszystkich i recytuje szybko, jak prymus, pełną odpowiedź.

Po sprawdzeniu wiadomości — nowy temat: „Dobry pasterz". Króciutkie wprowadzenie i znów pytania.

— Dlaczego nie wszystkie owce idą za dobrym pasterzem?

— Ja może powiem, bo to zagadnienie znam — z czwartego rzędu podnosi się siwy mężczyzna w okularach. — Wiele kazań na ten temat słyszałem, już nawet niektórzy z tych braci, co je głosili, nie żyją... Otóż dobry pasterz idzie najpierw, a owca — gdzie...? Za nim. Ale owca, która nie zna głosu pasterza — co zrobi...? Za nim nie pójdzie.

I tak dalej. Lekcja biblijna adwentystów przypomina rzeczywiście lekcję, w pełnym tego słowa znaczeniu. Po przerwie, w drugiej części nabożeństwa, jest kazanie.

* * *

Niewiele osób zgadłoby, skąd pochodzą poniższe rady:

- Najkorzystniej jest spożywać dwa, ewentualnie trzy posiłki dziennie. W przerwie między nimi (5—6 godzin) nie należy jeść niczego.
- Posiłek nie powinien być ani zimny, ani gorący.
- W jednym posiłku nie należy jeść jarzyn w połączeniu z owocami.
- Jajka spożywać w umiarkowanej ilości, cukier i słodycze ograniczyć do minimum, sól stosować w bardzo ograniczonej ilości.
- Starać się zastąpić masło olejem, śmietaną i orzechami używanymi prawie do każdego posiłku.

Otóż jest to mikroskopijny fragment twórczości Ellen G. White na temat reformy zdrowotnej. Rady, jak się należy odżywiać, zostały także pani White objawione podczas widzenia.

Nie wolno: pić kawy, herbaty (z wyjątkiem, gdy spełniają funkcję leku), alkoholu. Grzechem jest palenie papierosów i używanie narkotyków. Grzechem jest także jedzenie wieprzowiny jako mięsa „nieczystego" oraz spożywanie krwi i tłuszczu zwierzęcego, nawet gdy pochodzą ze zwierząt „czystych".

Jeden z wyznawców Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego narysował mi tabelkę z biblijnym podziałem na zwierzęta „czyste" i „nieczyste", czyli inaczej mówiąc: zdrowe i niezdrowe. Patrzę i widzę — w ssakach wybór niewielki: bizon, jeleń, krowa, owca, koza *„Wszelkie bydlę, które ma rozdzielone stopy i rozdwojone kopyta a przeżuwa, to jeść będziecie"*. W ptactwie już lepiej: gołębie, kurczęta, kaczki, gęsi, indyki, przepiórki. Ryby — do woli, ale wykluczone są skorupiaki, raki, homary, ostrygi, krewetki. Gady i płazy wszystkie nieczyste.

— Jedzenie wieprzowiny — mówi pastor Micherda — wpływa bardzo niekorzystnie na organizm człowieka. Powoduje wiele schorzeń, co i lekarze stwierdzili: egzemy, choroby wątroby, trzustki, owrzodzenia, wypadanie dysku, zwyrodnienia stawów... Kto je niedozwolone rzeczy, łamie przykazanie: „nie zabijaj". Siebie samego.

No i takie porównanie: Średnia wieku dziesięciu pierwszych patriarchów, nie spożywających mleka i produktów zwierzęcych, jak mleko i jaja, wynosiła 857 lat. Przeciętna wieku drugiej dziesiątki patriarchów (żyjących po potopie) zmalała już do 317 lat. Natomiast w czasach Mojżesza, a więc około 1000 lat po potopie, stwierdzono: *„Życie nasze trwa lat siedemdziesiąt, a gdy sił stanie osiemdziesiąt"*.

Umiejętność właściwego odżywiania się, dobrego gotowania, adwentyści traktują jako religijny obowiązek. Zaiste, osobliwa społeczność.

* * *

Na całym świecie są ich cztery miliony, w Polsce — siedem tysięcy. Oczekują czasu końca i powrotu Obiecanego. Oczekują bez lęku. Z nadzieją. Tak im lepiej żyć. □

JULITA TWARDOWSKA

SZPITALIK

Dorota Krzemionka

Przy ulicy Wojska Polskiego, dawnej Lipowej, stoi piętrowa kamieniczka, szara i nijaka jak większość domów dawnego Klerykowa. Tu mieszkał na stancji uczeń gimnazjum kieleckiego — Stefan Żeromski. A kilka kroków dalej zespół podobnie ponurych budynków, z wąskimi oknami, z odpryskami tynku na ścianach, Wojewódzki Specjalistyczny Zespół Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem. Kielczanie mówią o nim po prostu szpitalik. W zeszłym roku obchodził 60-lecie swojego istnienia. Niewiele osób w mieście pamiętało o tym jubileuszu. Jest to temat raczej przykry i wstydliwy dla tutejszych władz. A przecież kiedy go budowano, oddzielne szpitale dla dzieci miały tylko: Warszawa, Kraków, Lwów, Łódź, Wilno, Lublin i Górny Śląsk. Dziś szpital dźwiga swoje lata jak uciążliwy garb. Jego personel pochłania bez reszty teraźniejszość.

HOSPITUM — ZNACZY GOŚCINNY DOM

Najbardziej tragiczna jest teraźniejszość na oddziale chirurgicznym. Wybudowany jeszcze przed wojną, od dawna już nie spełnia najbardziej podstawowych wymogów. Wizytujące go komisje jawnie wyrażały swoje oburzenie, a nawet przerażenie. I na tym się zwykle kończyło. Korytarz służy za kilka innych sal, których tu brakuje. Stoją w szeregu butle tlenowe, deska do prasowania, sterylizator, lodówki i łóżko na kółkach. Wiszą i stoją szafki z bielizną i lekarstwami. W kątach złożono specjalistyczną aparaturę. Obok leżą dzieci, którym zabrakło miejsca na salach. Dostawki zajęły również salkę reanimacyjną. Pięcioletni chłopiec przywieziony z wypadku w bardzo ciężkim stanie, trafia na ogólną salę, 10-łóżkową. Szumną nazwę bloku operacyjnego nosi jedna salka, do której wchodzi się wprost z korytarza. Zabiegi wykonuje się tu niemal bez przerwy. Stolik dla instrumentariuszek wciśnięto pod schody wiodące na strych.

Po korytarzu kręci się mały pajtuś w białym hełmie z bandaża na głowie.

— Czemu nie leżysz? Gdzie twoje łóżeczko?

— Tam — pokazuje mi łóżko, w którym z podłączoną kroplówką leży drugi chłopiec.

To powszedniość tego oddziału. Łóżek 35 — a dzieci często 50. Leżą po dwoje, niektóre po zabiegach przywiązane do łóżek bandażami. Kiedyś jedno dziecko zostało ugryzione przez drugie w policzek. Założono mu dziewięć szwów. Rodzice chcieli wytoczyć proces dyrekcji szpitala. Wypadek zdarzył się dawno temu, raz. Mógłby się zdarzać niemal codziennie. Dr Lucyna Raczyńska pracuje tu od 20 lat:

— Już wtedy brakowało miejsc. Zaczęliśmy wyznaczać terminy, coraz dłuższe, tym dzieciom, które mogły czekać. Teraz czas oczekiwania przekroczył rok!

Rozmawiam z lekarzami w ich dyżurce. Jeden pokój służy 17 osobom. Na środku podłogi rozdeptany prusak.

— Są wszędzie, w całym szpitalu. Chodzą po łóżkach. Dzieci krzyczą wtedy — o, pcioła! Doczekaliśmy się nawet mutantów.

— Bywa, że mniej spostrzegawczy lekarz wypija kawę z prusakiem na dnie.

— Co na to Sanepid? Wizytują nas co miesiąc. Sprawdzają, czy ubranie zewnątrzszpitalne nie leży razem z wewnątrzszpitalnym. Widać wierzą, że mamy szkolone prusaki, rozróżniające rodzaj ubrania, do którego wchodzą.

— Dawniej o tych sprawach nie wolno było mówić. Za poprzedniej dyrekcji zaproponowaliśmy, że sprowadzimy do szpitala ekipę TV. Ktoś z nas miał tam znajomych. Przerażony dyrektor prosił, byśmy nie żartowali.

Przez drzwi zagląda matka z dzieckiem. Pyta o przychodnię.

— Proszę zejść na dół — mówi siostra.

— Gdzie na dół? Do piwnicy? — zdumiona kobieta otwiera szeroko oczy.

Wojewódzka Specjalistyczna Poradnia Przyszpitalna działa w piwnicy budynku od 6 lat. W jednej salce przyjmuje często jednocześnie dwóch lekarzy. Siostra pełni rolę rejestratorki, pielęgniarki, zaopatrzeniowca i sprzątaczki w jednej osobie. Gdy wejdą rodzice z dziećmi, nie można się po prostu obrócić. Brak ubikacji sprawia, że matki wysadzają dzieci przed wejściem do budynku.

— Mamy więc zakażenie wewnątrz-, zewnątrz- i przyszpitalne — mówi siostra. Zdejmuje właśnie z ręki gips 7-letniemu

chłopcu. Ręka wędruje na temblak, a dziecko z matką do rentgena na drugi koniec miasta. Z mokrym jeszcze zdjęciem bez opisu dziecko musi wrócić do poradni szpitalnej.

— Czy nie jest to uciążliwe? Nie tylko uciążliwe — siostra pochmurnieje — zdarzyło się, że dziecko do trepanacji czaszki, odesłane do rentgena na Mickiewicza, zmarło w drodze powrotnej.

A na półpiętrze wisi gazetka ścienna ze zdjęciami uśmiechniętych bobasów i dużym nagłówkiem: Wszystkie dzieci są nasze!

Podobne trudności gnębią również pozostałe oddziały. Oddział płucny zajmuje budynek mieszkalny, zakupiony na potrzeby szpitala jeszcze w 1922 r. Dwusalowy, zimą niedogrzany, służy do dziś. Bywa, że odradza się rodzicom pozostawienie tu dziecka ze względu na groźbę dodatkowych powikłań. Obecnie oddział przechodzi remont kapitalny z wymianą instalacji elektrycznej. Czy zmieni to jednak w zasadniczym stopniu warunki leczenia?

Dwa oddziały niemowlęce i dwa wewnętrzne mieszczą się w pawilonie wybudowanym ze składek społecznych w 1927 r. Jego piwnice zajmuje kuchnia mleczna, której pomieszczenia ciasne, ciemne i pełne splątanych rur sąsiadują bezpośrednio z kotłownią i składem koksu. Na wysokości pierwszego piętra we wnęce okiennej stoi figura Matki Boskiej Różańcowej z bezradnie rozłożonymi rękami.

To właśnie na oddziale niemowlęcym dzieci leżą w szufladach, o czym pisano już w naszej prasie. Dr Krystyna Iwańska nie uważa tego za największy problem:

— Najważniejsze, że szuflada mieści się tam, gdzie nie zmieściłoby się jeszcze jedno dodatkowe łóżeczko. Większe zagrożenie stwarza brak boksów. Nowy pacjent ze świeżą infekcją leży na sali z pięciorgiem podleczonych dzieci. Brakuje odczynników, aparatury, butów dla personelu, bielizny dla dzieci. Od ciągłego prania wszystko rozłazi się w rękach. A jeśli pralnia ma przestój... Cewniki, igły i leki dostajemy na szczęście z darów. O nowoczesnym sprzęcie szkoda marzyć. Stary aparat do oznaczania gazometrii psuje się niemal co cztery godziny. Przy dzieciach pracują chore, zakatarzone pielęgniarki, bo nie ma ich kto zastąpić.

Brak ludzi dokucza równie boleśnie jak stan budynków. Młode dziewczyny po szkołach pielęgniarskich niechętnie tu przychodzą, bo warunki pracy trudne, a szpital nie zapewnia nawet namiastki mieszkania. Dyrekcji marzy się nowy hotel dla pielęgniarek. Na razie stale brakuje ponad 30 osób personelu. Lekarze mają po 8 i więcej dyżurów na miesiąc. Powyżej 6 lekarz ma prawo odmówić. Po 30 godzinach nieprzerwanej pracy kawa nie łagodzi już zmęczenia. Na oddziale intensywnej terapii nowoczesne aparaty stoją bezczynnie w oczekiwaniu na specjalistyczny personel. Oddziałem Rehabilitacji Leczniczej — IX oddziałem szpitalika — opiekuje się dwóch zamiast pięciu lekarzy. Jest to jedyna tego typu placówka w województwie, dzieci czekają tu na miejsce po pół roku. A na nowego lekarza od 3 lat czeka 3-pokojowe mieszkanie służbowe. Wielu szuka jednak łatwiejszej pracy. A w szpitaliku trudności mnożą się, spiętrzone na zbyt ciasnej powierzchni. Dr Buszkowski, którego imię nosi kielecki szpitalik, pisał w 1919 roku: *„Są pewne przejawy życia w naszym mieście, które zmuszają do zastanowienia się nad tym, czy istotnie żyjemy w XX wieku".*

„ZAMIAST WIEŃCA NA TRUMNĘ JANINY"

Postać dr Władysława Buszkowskiego i historię tych kilku lat, które spędził w Kielcach, poznałam dzięki dr Tadeuszowi Rumistrzewiczowi. Ordynator na oddziale zakaźnym z zamiłowania jest historiografem szpitalika. Opowiada o tamtych zdarzeniach, jakby był ich naocznym świadkiem:

— Kiedy w 1917 roku dr Buszkowski przybył z Warszawy do naszego miasta, trwała wojna. Społeczeństwo Kielc, podobnie jak innych miast polskich, czekało na ziszczenie się snu o własnym państwie. Nie od razu poparło jego zamiary. Wielu mówiło o sprawach na ten czas pilniejszych i dla narodowego bytu istotniejszych. Pracujący w szpitalu św. Aleksandra lekarz w stopniu kapitana rozpętał istną batalię na rzecz budowy szpitalika dziecięcego w Kielcach. Nie było prawie numeru wychodzącej wtedy Gazety Kieleckiej, w którym nie zabierałby w tej sprawie głosu. Proszę spojrzeć...

Fot. ANDRZEJ PĘCZALSKI

W starym brulionie drobnym pismem wynotowano odezwy sprzed 60 lat: *„Do Ziemian. Pod gradem kul powinno się znosić cegiełki na ten gmach, w którym zdrowieć będzie młódź nasza, podpora przyszłego życia".* (GK 5.05.1917).

„Do kupców miasta Kielc. Zdaje mi się, że miasto nasze chlubić się winno tym, że przystąpi do stworzenia tak potrzebnej instytucji, a nie zastanawiać się nad tym, czy ją stworzyć" (GK 30.05.1917).

„Gdy dziecka swego, bo wszystkie dzieci są nasze, nie uratuje-

Andrzej Wojciech Guzek

Flora

Jeszcze tylko czuwają za nas rośliny,
Bezimienni dozorcy agonii
w strataowanym kopytami pijanych centaurów ogrodzie
spóźnionego cesarstwa.
Kiedy zniewoleni,
wciągani przez giętkie wiary snu,
jedynie z cienką strużką śliny w kącikach ust
odpływamy na antypody świadomości,
one trzymają chłodną rękę na wibrującym nieregularnie
pulsie przestrzeni i czasu.
W głębi pustej jak dzwon katedry
wyciskają swoje własne echo,
i potwierdzają jego tymczasową wszechobecność mrugając
spokojnie
magicznym okiem chlorofilu.
Traktują nas jak dzieci — łagodnie i pobłażliwie.
Pozwalają słuchać w skupieniu czystej muzyki śnieżnych lawin
a w kamieniołomach lodowców wykuwać swoje patetyczne,
anonimowe chorały skargi.
Znają tak dobrze nasze rzucone na głęboką wodę imiona,
i śliskie z niepokoju elektryczne palce,
które zaciskamy na ich smukłych jak wysokopienne łodygi
gardłach.
Wbrew wszelkim złudzeniom i obietnicom gwarancji
jeszcze czuwają obdarzając nas swoją tajemną wiarą,
a szepcząc — bądź ostrożny, uważaj — przeprawiają
naszą ślepotę bezpiecznie,
na drugi, wędrujący w ucieczce brzeg
rwącego przez prochy serca
kamiennego strumienia.

Wiersz z zestawu wyróżnionego w XIII konkursie „O Laur Świętokrzyskiej Liry Poezji"

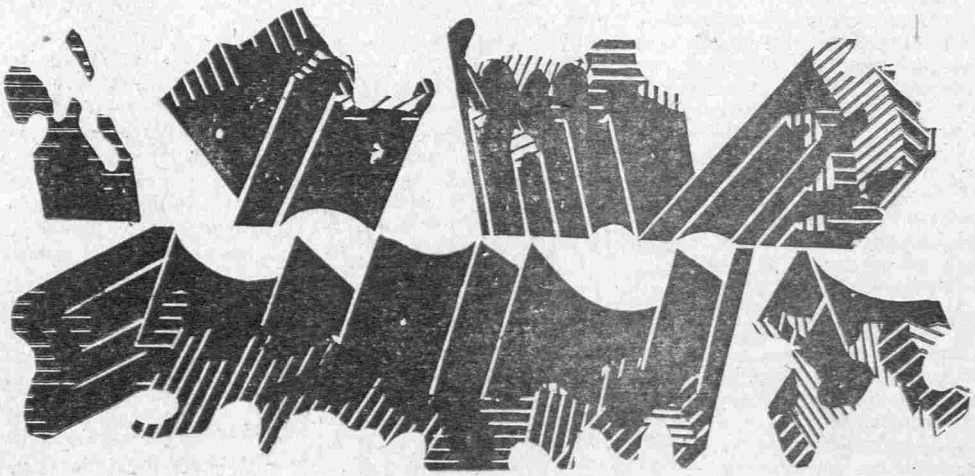

Rys. Zbigniew Moralski

Partyzanckie wesele u „Jędrusiów"

Eugeniusz Dąbrowski

„MARIANA" poznałem z końcem 1942 roku, w okresie zajmowania przez oddział partyzancki „Jędrusiów" kwater w rejonie Ujazdu. W samym Ujeździe, małej wiosce sławnej z ruin zamku „Krzyżtopór", magnackiej ongiś rezydencji rodu Ossolińskich, kwatery zajmowali: „Genek" u gospodarza Wincentego Jandy, „Andrzej" u Władysława Świerka i „Zdzich" u Rybaka, kowala z majątku Orsettich. Spora grupa partyzantów kwaterowała w sąsiednich wioskach — Tęczy, Toporowie, Radwanie, Kolonii Radwanówek i Kolonii Grzybowskiej.

Centralna kwatera znajdowała się w przysiółku wioski Świnia Krzywda, w jednym z trzech stojących całkiem na uboczu domów. Tu „Jędrusie" zbudowali wspaniale wyposażony podziemny bunkier pod całą stodołą gospodarza Kupca. Było to bezpieczne ustronie, od wioski Radwan zasłonięte sosnowym lasem, a od wiosek Świnia Krzywda, Grzybów i Ujazd oddzielone głębokimi parowami.

W partyzanckim języku kwatera ta nazywała się „Wygwizdowem". Choć sam teren w poważnym stopniu zabezpieczał tę kwaterę, to jednak „Jędruś" podjął też dodatkowe środki ostrożności, poruczając „opiekę" nad całym tym rejonem zakwaterowania komendantowi posterunku „granatowej" policji w Iwaniskach Stanisławowi Bakasowi. Bakas był gimnazjalnym kolegą Władysława Jasińskiego — „Jędrusia", a w okresie niemieckiej okupacji, służąc w podziemiu, spełniał równocześnie trudną pracę wywiadowczą w szeregach „granatowej" policji. Na tymże posterunku w Iwaniskach służył też „Marian", jako wtyczka bogoryjskiej placówki AK. Ilekroć spotykaliśmy się w Bogorii na kwaterze u „Wujenki" (Zofia Gawrońska), „Marian" służbiście trzaskał obcasami i meldował się nam, partyzantom. Był chyba w naszym wieku, rocznik 1921, może 1922. Zawsze pogodny, uśmiechnięty i bardzo koleżeński. W niedługim czasie poznaliśmy go jeszcze bliżej i wówczas zawiązała się między nami trwała przyjaźń. Ale wpierw było sporo wydarzeń w naszym partyzanckim życiu.

9 stycznia 1943 roku poległ „Jędruś" wraz z dwoma kolegami. W kilka dni później uczestniczyliśmy w żałobnej mszy za poległych, odprawianej w parafialnym kościele w Iwaniskach. Pamiętam jak na środku kościoła stał wyprężony „na baczność" Bakas, nasze „oczy i uszy" w tym rejonie zakwaterowania. 12 marca 1943 roku „Jędrusie" rozbili więzienie w Opatowie, uwalniając 80 aresztowanych Polaków. W trzy dni później poległ Bakas. Jego śmierć skłoniła nas do opuszczenia „Wygwizdowa". Z ciężkim sercem opuszczaliśmy tak bardzo nam przychylne strony. Czasami i później odwiedzaliśmy jeszcze te kwatery. I tak 14 kwietnia 43 roku, jadąc rowerem miłoszowickimi wąwozami w kierunku Ujazdu, wpadłem w ręce patrolu „granatowych" policjantów. Nie miałem żadnych szans ucieczki, a czymże był mój „Vis" i dwa granaty wobec sześciu uzbrojonych policjantów. Miałem jednak szczęście. W patrolu tym, na pierwszym wozie wśród „granatowych" policjantów siedział również „Marian", który w czasie legitymowania mnie przez komendanta zorientowawszy się, że posiadam fałszywą kennkartę na nazwisko Jana Gumińskiego, po chwili odezwał się do mnie: „panie Janku, dokąd to pan jedzie?" Ten fakt całkowicie zmienił stosunek policjantów do mnie. Mogłem po chwili odjechać.

W kilka dni później posterunek „granatowej" policji w Iwaniskach został rozbrojony. „Marian" poszedł razem z partyzantami. Od tej pory był już jednym z nas. Odtąd razem uczestniczyliśmy w akcjach, razem przeżyliśmy obławę na nasze kwatery w turskim lesie, razem sypialiśmy na pryczy w partyzanckich szałasach, razem też żegnaliśmy poległych w walce z okupantem kolegów. Ale partyzacnkie życie to nie tylko walka, obławy, leśne kwatery. To także miłe spotkania, to zawiązujące się sympatie, to tęsknoty i marzenia młodych ludzi, to wspólne piosenki przy obozowych ogniskach o „dziewczynie, co czeka i kryształowe roni łzy". Tak mówiła jedna z naszych piosenek.

Doprawdy nie wiem, kiedy i gdzie „Marian" poznał Bożenkę. Była śliczna. Niektórzy z kolegów zazdrościli mu jej. Stale mieszkała w Skarżysku-Kamiennej. Spora to odległość od „jędrusiowych" kwater, które w roku

1943 i 44 przeważnie zlokalizowane były w lasach bliżej Połańca, a więc na południowych krańcach ziemi sandomierskiej. Początkowo „Marian" ukrywał się ze swoją wielką miłością. „Bomba" wybuchła dopiero wiosną 1944 roku. „Marian" się żeni! Rzadkie to było wydarzenie w naszym partyzanckim życiu. Większość z nas, mimo swego młodego wieku, nie aprobowała takiego zamiaru. „To przecież nie ma sensu!" — oto najczęstsze głosy, których nie zabrakło też i wśród najbliższych przyjaciół „Mariana". Niektórzy stwierdzali filozoficznie: „miłość nie ma granic" lub „na zakochanie nie ma lekarstwa". Ożenek, to naturalne prawo każdego mężczyzny i kobiety, cóż więc tu radzić, czy odradzać?! Tak też było i z „Marianem" Bezskuteczne były wszelkie rady.

Bożenka coraz częściej pokazywała się na naszych kwaterach, wprawdzie nie na tych leśnych, lecz w Smerdynie, w „Kwiatka Róży", a także w Jurkowicach u „Selima", Henia Kuksza, z którym „Marian" też się przyjaźni. Cóż było robić? Ustalono datę ślubu na sobotę 29 kwietnia 1944 roku. Coraz częściej „Marian" wyskakiwał z oddziału na przepustkę, bo i sporo spraw miał do załatwienia. Formalności z zapowiedziami przedślubnymi oraz oficjalną dokumentację aktu małżeńskiego uzgodnił z księdzem proboszczem w Wiązownicy, w parafii leżącej z dala od wszelkich dróg i szlaków komunikacyjnych. Weselne przyjęcie przygotowywano w Smerdynie, na kwaterach u Kubików i Niezabitowskich, leżących na uboczu wioski, należącej zresztą do wiązownickiej parafii. Smerdyna należała do tych wiosek, które zaliczaliśmy do swych baz, kwaterując tu od czasu do czasu.

Ostatnia sobota kwietnia była pogodna, ale na polnych drogach Sandomierszczyzny utrzymywało się jeszcze błoto. „Orszak" weselny „Mariana" i Bożenki wyruszył z Jurkowic wczesnym popołudniem, chodziło bowiem o to, by do Wiązownicy zdążyć na umówioną z księdzem godzinę, 16. „Selim" powoził trzysiedzeniowym wasążkiem. Obok niego, na przednim siedzeniu, usadowił się uzbrojony w „bergmana" partyzant „Czereśnia", środkowe siedzenie zajmowała para młodych, a na tym, trzecim siedzeniu, ulokowano matkę Bożenki, obok której tyłem do kierunku jazdy, zajął miejsce „Walek", uzbrojony w zdobyczny pistolet maszynowy. „Walek" zabawiał teściową, jak wkrótce partyzanci poczęli nazywać mamę Bożenki. On też stanowił ubezpieczenie tylne „orszaku". Przedem jechało na koniach trzech uzbrojonych partyzantów: „Stach-Inspektor", „Romek-Uszaty" i „Kumoter".

Bożenka była ubrana w białą suknię z takimż welonem, „Marian" zaś w gabardynowy mundur wojskowy i buty z cholewami, tak zwane „oficerki". Całą drogę z Jurkowic, przez Budy i Smerdynę do Wiązownicy, w „orszaku" panował wspaniały nastrój. Zasługa to niewątpliwa „Czereśni" i „Walka", którzy nieustannie sypali kawałami i nawet bardzo z początku poważną teściową rozśmieszyli do łez. Ale

Partyzancki obóz. „Jędrusiów" w turskim lesie (maj — czerwiec 1943 rok). Trzeci z prawej Marian Wiktorowski „Polikier".

„Wygwizdów" — centralna kwatera „Jędrusiów" w rejonie Zwanisk — Ujazdu, od października 1942 r. do marca 1943 roku. Na zdjęciu patrol „Jędrusiów" w oczekiwaniu na akcję. Od lewej: Edward Kabata — „Książę Balii", Walenty Ponikowski — „Walek", Zbigniew Kabata — „Bobo", Józef Szelest — „Romek Uszaty".

radość trwała krótko, bo oto w Wiązownicy, w miejsce księdza proboszcza zgłosił się do „Mariana" organista i wręczając mu plik dokumentów ślubnych oświadczył, iż niestety, ale proboszcz z jakichś bardzo ważnych powodów musiał dokądś wyjechać. Zaskoczenie było całkowite. Na policzkach Bożenki pojawiły się duże perły łez, których przybywało w miarę narastającej perory jej matki. A to: „że nigdy mnie nie słuchałaś"..., to znowu — „z kim ty się wiążesz", a wreszcie... „a widzisz, nie mówiłam ci"... itd., itd. Ucichł dowcipny dotąd „Czereśnia", zabrakło konceptu „Walkowi", jedynie „Selim" coś tam jeszcze filozofował. „Marian" uspokajał Bożenkę, tuląc ją czule do siebie. Nie było tu już co dłużej czekać, przed kościołem zbierali się ciekawi zdarzenia mieszkańcy pobliskich domów. Wreszcie „Selim" zaproponował: „Pany! Znam dobrze proboszcza mojej parafii w Olbierzowicach, jedźmy do niego!".

Propozycja została natychmiast przyjęta przez wszystkich. Milcząco aprobowała ją też teściowa. Popędzając konie ruszyli z powrotem, przez Smerdynę, Budy i Jurkowice, w głębokie wąwozy Pełczyc i Olbierzowic. Zapadł zmrok i tylko dzięki jakiemuś dodatkowemu zmysłowi „Selima" dojechali wertepami cało i szczęśliwie. Wyraźny pech prześladował jednak nowożeńców. I tu ksiądz proboszcz był nieobecny. Niedawno wyjechał w kierunku Ułanowic i nie wiadomo kiedy wróci. Jeśli pojechał dalej, do Klimontowa, to z pewnością wróci bardzo późno. „Marian" po krótkiej naradzie z Bożenką orzekł, że będą czekać do powrotu proboszcza. „Selim" nawiązał kontakt z członkami miejscowej placówki AK i u „Jaskółki" zorganizowano skromną kolację. Oczekiwanie na powrót księdza przeciągało się. Minęła już godzina, dwie, a proboszcza nadal nie było. Podtrzymywany humorem przez „Czereśnię" i „Walka" nastrój coraz bardziej wygasał. Nie pomogły nawet próby „Stacha-Inspektora" nucenia partyzanckich piosenek. Słowa jednej z nich miały wyraźnie podtrzymywać wszystkich na duchu:

... „Choćbyś miał ze szczytu
spaść na samo dno,
Choćby ci jak po grudzie
wszystko szło,
Ty uśmiechaj się i wierz,
Że zdobędziesz co chcesz,
Zawsze wierz, zapamiętaj
sobie to!".

Ale to tylko tak w piosence, bo oto w pewnej chwili „partyzancka teściowa", mama Bożenki, nie ukrywając zdenerwowania bez ogródek oświadczyła: „róbcie sobie dalej co chcecie, a ja proszę, odwieźcie mnie natychmiast do Skarżyska. Mam tego dość!".

„Marian" zbladł. Podszedł do swej przyszłej teściowej, cmoknął w rękę i bez zastanowienia powiedział: „Jedziemy do Bogorii, do mojej parafii, tam ksiądz, a zresztą... tam wszyscy mnie znają!".

Bogoria leży przy szosie Staszów — Opatów. Z Olbierzowic będzie z 15 kilometrów, ale byle dostać się do Jurkowic, dalej już szosą. Wprawdzie szosą niebezpiecznie, no ale co robić! Chłopcy z Olbierzowic załadowali się na drugą furmankę i uzbrojeni w kabeki wzmocnili ubezpieczenie. Przed północą, boczną uliczką omijając rynek, wjechali przed bogoryjski kościół. Obudzony ksiądz proboszcz Franciszek Piętak natychmiast rozpoznał „Mariana", spokojnie i z uwagą wysłuchał jego prośby, obejrzał dokumenty dotyczące zapowiedzi przedślubnych w Wiązownicy, metryk chrztu itp. Wszystko załatwi, ma jednak pewne „ale". Po pierwsze klucze od kościoła znajdują się u kościelnego, a więc nocnego ślubu nie da się utrzymać w tajemnicy, po drugie — konieczne jest wymyślenie jakiegoś alibi dla niego, zarówno przed kościelnym, jak i ewentualnie przed Niemcami, gdyby sprawa ta do nich dotarła.

„Z tym nie będzie kłopotu! Niech ksiądz proboszcz udaje, że śpi sobie w najlepsze, a my tu za chwilę przyprowadzimy kościelnego i przy nim weźmiemy księdza pod przymusem!"

Proboszcz z uśmiechem zaaprobował to rozwiązanie. I tak o północy z soboty na niedzielę, z końcem kwietnia 1944 roku, w bogoryjskim kościele parafialnym odbył się ślub „Mariana" z Bożenką. Przy ołtarzu, w komeżkach i z „empikami" zawieszonymi na piersiach, usługiwali „Walek" i „Czereśnia". Później „Selim" wspominał, że obaj bardziej przypominali mu „madejowych zbójców", aniżeli ministrantów. Chłopcy z Olbierzowic zaintonowali nawet „Veni Creator". A później...

Później powrót polnymi drogami do Smerdyny, przez Łaziska i dalej lasami. W Smerdynie długo, bardzo długo, na „Jędrusiowych" kwaterach musieli czekać z weselnym przyjęciem. Ale jeszcze wcześniej, bo właściwie przy samym wyjeździe z Bogorii, „Stach-Inspektor" nie wytrzymał z radości, że przecież ten pechowy ślub jednak odbył się. Ze swego „empika" puścił długą serię pocisków, która dziwnym rechotem rozdarła ciszę wiosennej nocy. Zaskoczony „Selim" nie utrzymał koni na wodzy. Spłoszone wystrzałami wpierw stanęły dęba, a następnie rzuciły się w bok i wszyscy siedzący w wasążku, razem z młodą parą i teściową, wylądowali w rowie. Na szczęście, przy tej szalonej wywrotce nikomu nic się nie stało. Cały był też wóz i bez przeszkód można było kontynuować podróż do Smerdyny. Jedynie piękna, biała suknia i taki sam welon Bożenki, nagle zmieniły swój śnieżny kolor, pokrywając się czarnymi, błotnistymi plamami. Choć nikt tego głośno nie powiedział, wszyscy jednak pomyśleli w duchu — „zły znak!".

* * *

Pod koniec lipca 1944 roku, w ramach akcji „Burza", rozpoczęła się na ziemi sandomierskiej koncentracja oddziałów Armii Krajowej. W czasie „Burzy" Marian Wiktorowski — „Marian", walczył w 4 kompanii „Jędrusiów", w 2 pułku piechoty legionowej AK. Uczestniczył w marszu Kieleckiego Korpusu AK z odsieczą powstańczej Warszawie, a także w licznych bitwach, między innymi w Dziebałtowie, Radoszycach i Radkowie. Poległ z początkiem grudnia 1944 roku w Łabędziowie nad Czarną Nidą, w potyczce z niemiecką żandarmerią. □

EUGENIUSZ DĄBROWSKI

Ogród młodości (15)

Państwo Zborowskich

Barbara Wachowicz

W ARCHIWUM Głównym Akt Dawnych zachował się dokument lokacyjny z 1569 roku, podpisany przez dziedzica dóbr, Piotra Zborowskiego stwierdzający *„iż Miasteczko nasze Imienniem Oleśnica na czasy wieczne przez nas i nasze Potomki przy wolnościach i rozsądkach Prawa Magdeburskiego i porządkach mieyskich według fundacji króla Pana Naszego zachowuiemy..."* Nadał Zborowski miastu *„plac ku budowaniu Ratusza na porzytek Rzeczypospolitej, także Browary, Słodownie, Gorce ku paleniu Gorzałki dopuszczamy mieć każdemu"*.

(O ile po ratuszu nie zostało w Oleśnicy ni śladu, o tyle ostatnia część przywileju czasem jest realizowana skrupulatnie do dziś).

Mieszczanie posiadający rolę byli obowiązani do trzech dni pracy rocznie na folwarku pańskim, ci, którzy posiadali tylko łąkę musieli *„iedną siewną pomoc odrobić"*. *„A inni wszyscy, którzy by Ról nie trzymali maiąc ogrody takteż Komornicy, iako są Kramarze, Furmani, Przekupnie, Rzemieślnicy wszelacy, od tych pomocy i robót naszych wszelakich od Nas i Naszych Potomków wypuszczeni będą"*.

Na błoniach między Oleśnicą a wsią Sufczycami *„iako było za przodków naszych, ogrody maią być zagonów trzydzieści zwłaszcza tym którzy na swych rolach mieć nie mogą"* — komornikom.

Przy *„ulicy na Gościńcu Pacanowskim Maciejowi Niegosławskiemu będącemu w Oleśnicy niekiedy Ministrem dla Choroby, Domowi Jego Łan daruiemy"*.

Na ten czas przypada w Oleśnicy wyznaczenie czworobocznego regularnego rynku, nawiązującego do tradycyjnej osi równoleżnikowej, zamkniętego od wschodu bryłą kościoła parafialnego i cmentarza.

Mimo przywilejów nadanych przez Zborowskiego, regestry podatkowe z 1579 roku odsłaniają biedę miasteczka. Oleśnica posiada: 8 ubogich komorników, 2 piekarzy, 2 szewców, 2 gorzałczanych, 1 ubogiego rzemieślnika, 1 kołodzieja, 1 garbarza, 2 rzeźników, 2 tkaczy oraz 1 ubogiego sprzedawcę soli...

Ta bieda pozostaje w jaskrawej sprzeczności ze świetnością rodu, który objął miasteczko w posiadanie. Jak Kurozwęccy i Oleśniccy, tak i Zborowscy mają według określenia Żeromskiego z „Dumy o Hetmanie" — *„własne państwo Zborowskie"*.

Uniżenie konstatuje w swoich „Herbach rycerstwa polskiego" chudopacholek — Bartosz Paprocki, iż Piotr Zborowski *„z bracią swą rodzoną doszedli tego że ten królem był, na którego oni zezwolili"*...

Zborowska brać

Brać była sporawa.

Marcin Zborowski, kasztelan krakowski, miał siedmiu synów. Jedni się osławili. Inni wsławili. Do tych ostatnich należał nasz Piotr z Oleśnicy, który zasłużył u historyków nam współczesnych na miano *„zwiastuna nowoczesnej tolerancji"*.

W zimowy dzień roku 1573 w Warszawie szlachta polska podpisała konfederację... Jej oryginał, któremu ciążą dziesiątki pieczęci, leży w skarbcu warszawskiego archiwum. Zachowały się tylko cienie liter — lecz jeszcze dziś *„bije z nich blask większy niż z tuzina wygranych bitew"*, jak pięknie powiedział Jasienica. *„Obiecujemy to sobie sądnie za nas i potomków naszych na wieczne czasy pod rygorem przysięgi (...) pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary krwie*

nie przelewać, ani też karać się wzajemnie konfiskatą dóbr, infamią, wygnaniem, więzieniem".

Wiosną tegoż, 1573 roku, kalwini małopolscy z Piotrem Zborowskim, dziedzicem Oleśnicy na czele zaakceptowali kandydaturę Henryka Walezego na króla Polski. Brat Henryka, Karol IX, otrzymał postulata polonica, żądające amnestii dla protestantów i swobód religijnych. Akceptacja postulatów przez posła Francji zadecydowała o elekcji Walezego.

Wiadomość o zwycięstwie przywiózł Henrykowi wysłannik Piotra Zborowskiego. Znalazł przyszłego króla Polski w obozie oblegającym port La Rochelle, z męstwem broniącą się twierdzę protestanckiej wiary...

Działa umilkły. Strzelano już tylko na wiwat. W obu obozach.

Jesienią 1573 w katedrze Notre-Dame Henryk Walezy miał zaprzysiąc w obliczu polskiego poselstwa konfederację warszawską.

Jechali Polacy krajem spalonym, widzieli umierających z głodu, słyszeli o dowódcach obrony rozrywanych końmi. Myśleli może o zdaniu ze swej konfederacji: *„aby się rozterka jaka szkodliwa w Rzeczypospolitej nie wszczęła".*

Weszli do katedry szumno, zbrojno. Tłum olśniły rubiny, turkusy na szablach, srebrzystość podkówek, puszystość soboli. Mijał rok od rzezi hugonotów. Gdy przyszło zaprzysiąc paragraf gwarantujący Rzeczypospolitej swobodę wiary, sumienia i słowa — Henryk Walezy zawahał się.

Cisza spadła na kościół. Wtem ostry głos krzyknął — *Nisi id feceris Rex in Polonia non eris!* To Jan Zborowski, brat Piotra.

Francuzi nie znali łaciny. Podawano sobie z ust do ust tłumaczenie słów Polaka: — Nie zaprzysiężesz — królem nie będziesz!

Zaprzysiągł.

„... karać różnych wiar nie każą, a sami niewinne katoliki dla wiary i o wiarę trapią... Płaczem się zalewać trzeba na ich zniewolenie..." — wołał Piotr Skarga.

Bo tolerancja protestancka też miała swoje granice. Poza nimi pozostawali — chłopi pańszczyźniani. *„Cuius dominium, eius religio"* — czyja włość, tego religia. Przeciw zmuszaniu chłopów do przechodzenia na wiarę pana — zaprotestował dziedzic Oleśnicy, Piotr Zborowski, żądając wniesienia postulatu wolności wyznania poddanych do konfederacji warszawskiej. Stąd tytuł — zwiastuna nowoczesnej tolerancji. Nie darmo pozostawał w ścisłej przyjaźni z Franciszkiem Stankarem (który gościem Zborowskich będąc zmarł jesienią 1574, w Stopnicy, od Oleśnicy o milę). W „Kanonach reformacyjnych", książce spalonej za rozdział „Powinności panów", Stankar powiadał, że tak się obchodzić mają ze sługami i poddanymi, jakby *„radzi około siebie widzieli, gdyby też sami sługami byli".*

Samuel Zborowski — symbol warcholstwa polskiego. W „Dumie o Hetmanie" mówi: *„Jam jest wieczny w ojczyźnie".*
(Zdjęcie ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN)

Ciekawe co by usłyszał proponując pokorę takową pozostałej obok Jana, *„braci rodzonej"* Piotra Zborowskiego. To były czarty z piekła, nie z Oleśnicy rodem. O swym tacie Marcinie, szepcze z zachwytem Paprocki, że *„był za mojej pamięci bardzo możny w skarby i w majętności"*, ale skromny, *„nie przesadzał się na szaty"*, *„u królów był w wielkiej łasce".*

Osiłek, *„żubry i niedźwiedzie pojedynkiem łowił"*, człowieka też mu się zdarzało. Tak zabił księcia Sanguszkę, za porwanie tyleż z miłości, ile dla posagu Halszki z Ostroga. *„Każdą krzywdę drogo zapłacił, a też prokuratory na rybnych stolech kijem bijał..."*

Jego syn Samuel miał wejść do historii jako ponury symbol anarchii i warcholstwa. Zabiwszy szlachcica w zwadzie, podczas

uroczystości koronacyjnych Henryka Walezego, dał nogę do Siedmiogrodu na dwór wojewody Stefana Batorego.

Powie o nim z pogardą w „Dumie o hetmanie": *„Wyższa była potęga Zborowskiego domu niż wszystek jego wojewódzki tron"*.

Nie darowali Zborowscy skromnemu wojewodzie, który został wielkim królem (za ich mocnym poparciem), że nie lubił błyszczeć na tle miernot. Spośród braci cenił tylko Jana i Piotra. Ci też wsparli go w wyprawie na Gdańsk, gdzie *„one Niemce zbierali po górach i po dąbrowach jako grzyby"*. Pod ten czas bracia: Samuel, Krzysztof, Andrzej, zawiedzeni w ambicjach spiskowali z carem, zaporożcami, odgrażali się kanclerzowi Janowi Zamoyskiemu, gotowali spisek na króla...

Krzysztof został skazany na banicję i konfiskatę. Andrzej przegnany, Samuel ścięty u stóp Wawelu. W oddziałku, który go ujął był młody porucznik, który dzielnie stawał pod Gdańskiem — Stanisław Żółkiewski.

W obozie pod Cecorą, jesienią 1620, widząc już otchłań, pisał stary hetman Żółkiewski spokojnie ostatnie pożegnanie ukochanej od trzydziestu lat żonie, zalecając *„pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej"*.

Znaleziono to ciało na pobojowisku z odrąbanym prawym ramieniem. Głowa, z cięciem głębokim, została uwieziona do Stambułu i zatknięta na bramie sułtańskiego meczetu.

W „Dumie o hetmanie" Żeromski wypełnia ostatnią noc Żółkiewskiego gorączkowymi *„widziadłami snu..."* Jawi się Samuel Zborowski ze smugami krwi, zastygłymi na złotym żupanie.

Powiada: *„... Ja? Ze Zborowa, z Rytwian (...) z Oleśnicy, ze Staszowa, ze wzgórz moich Kurozwęckich, znad rzeki mojej Czarnej, z lasów moich ku Połańcu, jam banita?"*

Przepowiada: *„Jam jest wieczny w ojczyźnie. Na bystrym koniu mój trup upiorem po niej przejeżdżać będzie hardo, szumnie, szatno, strojnie..."*

Bartosz Paprocki, *„pszczółka pracowita"*, dedykując swe „Herby" w lipcu 1584 — Stefanowi Batoremu odważy się jednak umieścić w nich panegiryk na cześć *„państwa Zborowskiego"*! Piotr już wówczas nie żył. Minęła go hańba *„braci rodzonej"*. Umarł jako wojewoda krakowski w Krakowie (1581). Dziesięć dni wieziono go do Oleśnicy, *„z wielkim kosztem jako jest obyczaj pany wielkie chować"*. Bo tam chciał wrócić.

Dziś po jego grobowcu nie zostało śladu.

Pałac Kalinowskich

Lata *„delirią calviniana"* dobiegają w Oleśnicy końca. Miasteczko staje się drogą zawiłych koneksji rodzinnych z Kurozwęckimi i Zborowskimi, własnością Lanckorońskich.

Z rozdziału o Kurozwękach pamiętamy braci — Krzysztofa i Zbigniewa, synów Anny z Kurozwęk i Jana Lanckorońskiego — głowy kościoła kalwińskiego.

Zbigniew, podkomorzy sandomierski, odziedziczywszy po bracie Kurozwęki i Oleśnicę odda kościoły katolikom. Przez cały wiek XVII obie miejscowości będą miały tych samych dziedziców.

Pra-prawnuk Zbigniewa, Stanisław z Brzezia Lanckoroński, zwolennik Stanisława Leszczyńskiego, zaznaczy swe dziedzictwo oleśnickie potwierdzając w roku 1705, u progu wieku XVIII, przywileje dla cechów, zatracone *„przez ruinę szwecką"*.

Na czele sądu wójtowskiego stoi wójt Marcin Poniewierski. Czuwa *„urząd Radziecki"*, aby rzemieślnicy na terenie Oleśnicy pracujący, uczciwie *„się rządzieli i sprawowali"*. Cechmistrzom — mówi Lanckoroński — *„dajemy władzę nad Bracią młodszą Rzemiesła rocznego Stolarskiego Bednarskiego Kowalskiego Stelmaskiego Kołodziejskiego Powroznickiego Ciesielskiego Garcarskiego"*...

Księgi parafialne Oleśnicy podają, że w 1720 roku chrzci tam syna Jerzy Marcin Ożarowski herbu Rawicz, kapitan wojsk koronnych. Potem — obożny wielki koronny. Stronnik króla Leszczyńskiego, zatem zapewne i przyjaciel Stanisława Lanckorońskiego. Stąd miejsce chrztu pierworodnego. Był Jerzy Marcin z familii zacnej. Pewien jego protoplasta, za czasów Zygmunta Augusta, przybył na sejm, by zwrócić przywilej na wieś. — Nie mogę zeń korzystać, nic w zamian państwu nie dając! — Król go ofuknął.

„Wziąć mi, Panie mój, gwałtem co możesz; ale dać mi gwałtem nic nie możesz..." — oświadczył godnie Ożarowski.

Po bezdzietnej śmierci Stanisława Lanckorońskiego Oleśnicę dziedziczy jego siostra Anna, wdowa. Po raz drugi wychodzi ona za mąż za chorążego halickiego, Józefa Walentego Kalinowskiego.

Żeromski, poznawszy Oleśnicę, pisze już o ruinach pałacu Kalinowskich, a nie Oleśnickich.

Tęga rodzina. W herbie Kalinowa mają niedarmo strzałę białą na polu czerwonym. Z kresową fantazją ginęli pod Cecorą, walczyli pod Beresteczkiem. Hetman polny koronny Marcin poległ w starciu z Chmielnickim. Jego brat Adam, poza wojowaniem wsławił się porwaniem własnej, urodziwej, młodej, szaleńczo bogatej... ciotki.

Wspomniałam o tym profesorowi Wojciechowi Kalinowskiemu, znakomitemu historykowi, znawcy dziejów Sandomierza. Rozjaśnił oko. — To do nas podobne!

Józef Walenty, wżeniony w Oleśnicę, był wszakże statecznym mężem i ojcem. Po klęsce Leszczyńskiego związał się z „Familią" — Czartoryskimi. Syna Ignacego w atencji dla nich wychował.

Młodość Ignacego przypadła na czas wojny siedmioletniej (1756—1763) Rosji z Prusami. Saska Rzeczpospolita leżała otworem, jak karczma zajezdna. Obce wojska krążyły po niej bezkarnie. *„Bito za opór, za skargi, bito chłopów, kradziono, zabijano, deptano zasiewy, wyławiano stawy (...), im cierpliwsi gospodarze, tym uciążliwsi goście"* — pisze Władysław Konopczyński, znakomity znawca epoki.

Na sejmie zwołanym jesienią 1760 posłowie, protestując przeciw pogwałceniu praw Rzeczypospolitej, żądali wymarszu Rosjan, zwiększenia wojska własnego, wynagrodzenia szkód, wyrugowania cudzoziemców z urzędów... Posłem z województwa ruskiego był stolnik litewski, Sta-

nisław Poniatowski. Z ziemi halickiej posłowali: Adam Czartoryski — wojewodzic, Ignacy Kalinowski — pułkownik.

Ledwo cztery lata miną, gdy Ignacy jako przedstawiciel powiatu wiślickiego odda głos na elekcji Stanisława Augusta Poniatowskiego. I zostanie zwolennikiem króla do końca życia, które zresztą raczej przesiedzi w oleśnickim zaciszu domowym. Żona Justyna z Borzęckich powije mu dwóch synów i pięć córek... Będzie gospodarzył. I sądził.

O sprawiedliwości czasów saskich powiadano: *„prawo jest jak pajęczyna, bąk się przebije, a na muchę wina..."*

Wygrzebał Żeromski z archiwum oleśnickiego dworu wyroki ferowane na przełomie XVIII wieku przez *„Sąd Mieijski Olesnicky"*. Wiernie zachowując osobliwości ortograficzne oleśnickiej polszczyzny obszerne wypisy pomieścił w „Dziennikach".

Zadziwiło to do głębi chlebodawcę młodego guwernera, właściciela Oleśnicy, Gustawa Zaborowskiego: — W wieku pana, ja, prócz dziewczyn, nic nie znałem. Pana zajmują rzeczywiście rzeczy takie, jak sądy gminne?

Zasiadali w nich obok Kalinowskiego: dwaj burmistrze, wójt, ławnicy. Nosili nazwiska do dziś w Oleśnicy przetrwałe: Lalewicz, Dziedzic, Strzelecki, Szczepański.

Podpisywali krzyżykami *„Dekreta więźniów ij Złocijnców jaką smiercią gyneli dla pamięcij Dalszego Urzędu Radzieckiego..."* Kim byli złoczyńcy? Pospólstwem. Za co i jaką śmiercią ginęli?

Przeważnie za *„chultayskie złodzieystwa"*. Śmiercią okrutną, średniowieczę, nie brzask nadchodzącego już Oświecenia przypominającą.

W 1759 roku Żydów (w tym *„Slązanijna z Miasta Wrocławia"*), którzy napadli na Żyda arendarza, zrabowali, zakłuli, dziecięciu głowę *„ukręciely"* skazano, by jeden był żywcem ćwiartowany, drugi (który tylko stał nad stróżem, grożąc — *„iak będzies wołał to cię nożem przebyię"*) — żywcem w koło wpleciony *„ij na Pol przybity"*. Ale na interwencję *„I.W.Imc. Dobrodzieyki"* dziedziczki kalinowskiej, *„władzą Zamku Oleśnickiego"* zostali pierwej ścięci i dopiero potem ćwiartowani, wbijani etc., a ich szczątki *„po gosciencach na Palach powiesane"*.

W rok potem lokaj Kalinowskich, Szymon, powodowany *„nieszczęśliwym affektem"*, ukręcił kłódkę do skarbczyka ale *„nyc nie wziął"*, zarazże zdybany przez innego *„sługę Pańskiego"* dziarskiego Grzegorza Mastalerza. Który go pyta: *„Sijmcu tys to tę kłotkę ukręcioł?"* —

Szymcio potwierdza, wyszarpuje nóż i *„czyni sobie Ran Cztery ku sercu"*. Co tylko pogarsza sprawę, bo sądzon już nie tylko za próbę włamania, lecz i za to, że *„chciał duszę swoyą zgubić"* — zostaje *„obieszon na Szubięnyci"*.

„Dobrodzieyka" Kalinowska tym razem nie interweniowała.

W 1766 powieszono w Oleśnicy chłopa za kradzież konia i *„naczyń rolnych"*, w 1773 Żyda, który ukraść tylko próbował.

Zaś sługa Pański Grzegorz, Szymona lokaja pogromca, pojawia się w relacji, spośród przepisanych przez Żeromskiego, najbardziej wstrząsającej. Jest to *„Inkwizycja Franciszki Leszczyńszczanki"*, która *„założyła Ogień w Dom małżonków Simanskich Obywatelow miasta „Oleśnice"*.

Onaż Franciszka zeznała *„iako zakochawszy się z sobą z Grzegorzem Mastalerzem, który miał się ze mną żenić"* — w 1758 we żniwa *„zostawszy brzemienną"* — powiedziała mu o tym. *„Jeśli nieżywe będzie — to rób co chcesz"* odpowiedział.

Dźwigała kamienie — ale nie pomogło.

„Ja roschorowawszy się układam się za piecem". Urodziła. A w dwa dni potem *„uwijnęłam między chuste ij utopiełam"*. *„Zaras utonęło"*. Grzegorz orzekł, że zrobiła źle, bo... on by je pochował pod Bożą Męką. Ale potem znów kochał Franciszkę.

Sąd zapytał surowo — dlaczego dała się uwieść ponownie? Odpowiedziała — że obiecał się ożenić, więc gdy zaczął chodzić z zalotami do *„czorki"* (córki) Szymańskich, nocą, *„po drugich pacierzach"*, pobiegła z ogniem i cisnęła w strzechę. *„A to z tey Racji ze mnie porzucioł"*.

„Ogniem skarana być miała", ale na interwencję *„Godnych osób Zwierzchności Dworu Oleśnickiego"* ten wyrok *„relaxuje się"* — *„aby bez inszych mąk mieczem tylko katowskim ścięta bijła"*.

Po latach, w okrutnej scenie utopienia nowo narodzonego dziecka przez Ewę Pobratyńską z „Dziejów grzechu" odnajdziemy los Franciszki z Oleśnicy.

Wyrok na nią podpisał osobiście dziedzic Kalinowski, który do dziś jako *„Ignacy grzesznik"*, na czarnym marmurze filaru oleśnickiego kościółka *„prosi o pozdrowienie za duszę swoją..."*. A *„Dobrodziejka"* jego żona, Justyna wzdycha wykutym obok napisem do Boga, by był miłościw jej duszy...

Król Stanisław August Poniatowski, pożegnawszy Kurozwęki właśnie ruszył do Stopnicy, gdy *„około Oleśnicy"* państwo Kalinowscy oświadczyli mu *„uprzeyme attencyje"*, *„a stoiące licznie przy gościńcu pospólstwo płci obojej bawiło się przy szafowanych hoynie od dziedzica trunkach śpiewaniem i tańcami"*.

Obdarowano króla chlebem i wieńcami kwiatów. Minęło dwadzieścia siedem lat od wspólnego z Ignacym posłowania na sejm i walki młodzieńczej. Minęło siedem od chwili gdy król *„podnieść i odnowić raczył"* przywilej na jarmarki dla Oleśnicy.

Lecz już się miasto nie podźwignęło. Raport z 1820 roku: *„Więcey Rolniczą Wolną Osadą niż Miasteczkiem nazywać się winne, żadnych nie posiada Dochodów i jest przez Woyta Gminnego czyli Burmistrza z ramienia Dziedzica ustanowionego rządzone, słomą we wszystkich Ulicach Domy pokryte maiące — kwalifikuje się bardziej do wysunięcia go z linij Miast aniżeli aby o wzroście jego pomyślić można"*.

Po powstaniu styczniowym Oleśnica zostaje *„wysunięta z linii miast"*. Na zawsze. Liczy wówczas 145 domów drewnianych. Murowany — jeden.

□

BARBARA WACHOWICZ

WIESZCZ NA INDEKSIE

Zdzisław Szeląg

TWÓRCZOŚĆ Mickiewicza w Królestwie Polskim można było publikować, kolportować i czytać do końca 1832 roku. Wydrukowanie w Paryżu czwartego tomu „Poezji", w którym znajdowała się III część „Dziadów", „Ustęp" i „Do przyjaciół Moskali" przekonało władze zaborcze, że jest to poeta „szkodliwy" i „buntownik". Namiestnik Królestwa Polskiego, feldmarszałek Iwan Paskiewicz w 1833 roku powołał komisję dla oceny wydawnictw z okresu „rokoszu" 1830 roku. Należał do niej m.in. Aleksander Krassowskij, prezes Komitetu Cenzury Zagranicznej w Petersburgu. Komisja znalazła „szkodliwe treści" w wierszu „Do Joachima Lelewela" oraz w poemacie „Konrad Wallenrod". Wydane one były za zgodą cenzury. 13 IX 1833 r. na wniosek Paskiewicza, petersburski minister oświaty Sergiusz Uwarow zabronił przedruku wydań Mickiewicza oraz przywożenia jego dzieł z zagranicy. Ponadto zakazano w publikacjach wymieniać tytuły utworów Mickiewicza oraz wzmiankować jego nazwisko. Zakaz ten obowiązywał przez ponad 20 lat, a ściślej do 1858 roku. Równocześnie rozpoczęto zorganizowaną akcję wykrywania i przeciwdziałania przemycaniu z zagranicy dzieł Mickiewicza. Czytanie lub kolportowanie jego utworów uważane było za przestępstwo. Zwalczanie twórczości autora „Dziadów" odbywało się przy pomocy władz administracyjnych, policji, służby granicznej. Dla umożliwienia kontroli nielegalnego obiegu, z inicjatywy Namiestnika, Komitet Cenzury, a potem Wydział Cenzury działający przy Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, Duchownych i Oświecenia Publicznego rozsyłał do władz administracyjnych specjalne reskrypty (zarządzenia) polecające w trybie pilnym ściganie utworów Mickiewicza. Pisma te (skrócone lub przestylizowane) Komisje Wojewódzkie, a potem Urzędy Gubernialne (od 1837) przesyłały do niższych szczebli administracyjnych — do komisarzy obwodów, naczelników powiatów, burmistrzów, wójtów. Prezes Komisji Województwa Krakowskiego, obejmującego teren Kielecczyzny, w piśmie z dnia 15 III 1833 polecił przeciwdziałanie *„wciśnieniu się"* na teren województwa III części „Dziadów". Zgodnie z zaleceniem należało przeprowadzić kontrole księgarń, kramów i w przypadku znalezienia utworu — skonfiskować. 18 III 1834 roku prezes Komisji Województwa Krakowskiego polecił *„zwracać baczność i troskliwie przestrzegać"*, ażeby na terenie województwa nie znajdował się „Pan Tadeusz", który mógłby szkodliwy *„wywierać wpływ na umysły mieszkańców"* i *„zakłócać ich spokojność"*. Kolejne pisma w tej sprawie prezes Komisji Wojewódzkiej rozesłał do niższych szczebli administracyjnych 3 XI 1834 oraz 15 XI 1834 roku. Zgodnie z poleceniem władze zaostrzyły kontrolę celną na granicy z Rzecząpospolitą Krakowską, przeprowadzały rewizje podróżnych bagaży, przesyłek pocztowych, księgarń, bibliotek. Rezultaty tych działań nie przyniosły jednak pożądanych skutków. Mickiewicz docierał na teren województwa.

Utwory Mickiewicza na Kielecczyźnie czytała głównie młodzież gimnazjalna, inteligencja miejska i wiejska. Warstwa ta jednak nie była zbyt liczna, prężna organizacyjnie i twórczo. Wiadomości przekazane nam przez historię na temat obiegu i lektury utworów Mickiewicza w regionie są skąpe, rozproszone i jak dotąd nie zostały zebrane. Warto przeto kilka odnotować.

W kolportażu nielegalnych wydawnictw uczestniczyła rodzina kieleckiego aptekarza Szymona Pantoczka. Syn jego Franciszek w latach 1834—1836 bez zezwolenia władz studiował we Wrocławiu farmację, skąd przesłał do Kielc „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego". W dniu 28 XII 1844/9 I 1845 przed Warszawską Komisją Śledczą zeznał:

„W czasie bytności mej w[e] Wrocławiu w 1835 r. podczas wełnianego jarmarku kupiłem przypadkowo idąc przez miasto

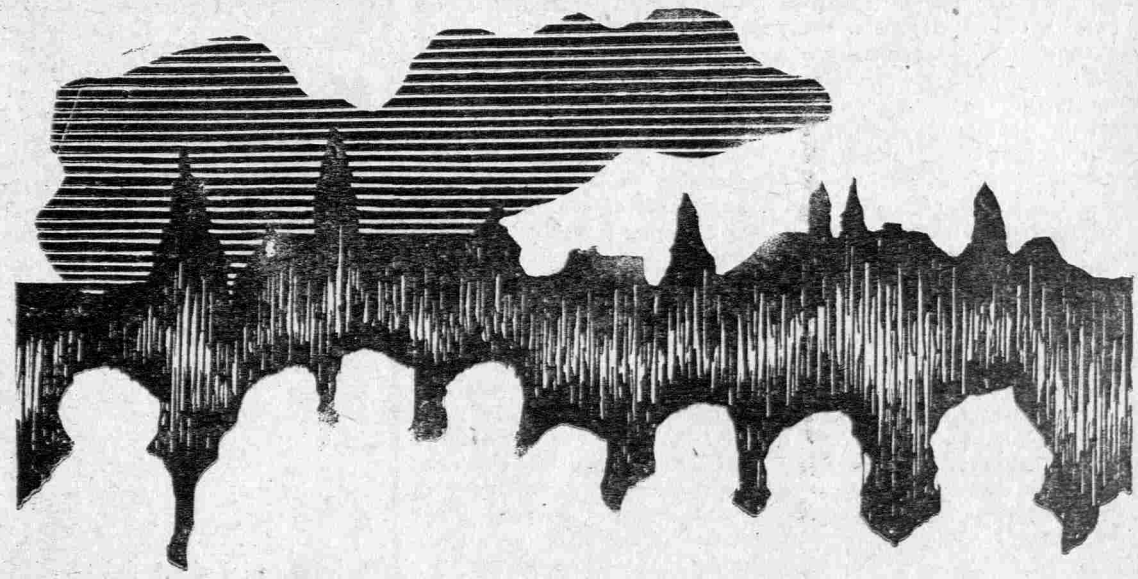

Rys. Zbigniew Moralski

od Żyda, noszącego na sprzedaż rozmaite książki, książeczkę małą pt. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" przez Mickiewicza. I tę to książeczkę przez zdarzoną mi wkrótce okazję, tj. przez Żydów, kupców staszowskich wracających z towarami do domu, do Kielc, opieczętowaną wraz z listem ojcu do domu wysłałem".

Ten egzemplarz utworu Mickiewicza kursował po Kielcach, za co Szymon Pantoczek został aresztowany w 1837 roku. Tomik zatytułowany „Księgi pielgrzymstwa. Nowy Job i Słowa wieszcze" (Paryż 1834) znajdował się w nielegalnej biblioteczce Stowarzyszenia Ludu Polskiego, przechowywanej w mieszkaniu Fortunata Biegańskiego, mecenasa Trybunału Cywilnego. W tym egzemplarzu znajdowały się utwory trzech autorów: Adama Mickiewicza („Księgi pielgrzymstwa"), Klementyny z Tańskich Hoffmanowej („Nowy Job") i Félicité H. Lamennais'ego („Słowa wieszcze" w tłumaczeniu Aleksandra Jełowickiego). Biblioteczka funkcjonowała w latach 1837—1839. Kilka tytułów Mickiewicza posiadał w swych bibliofilskich zbiorach kasztelan Franciszek Łempicki z Plant koło Iwanisk i Ujazdu. Franciszek Ksawery Borkowski w swoim poemacie „Dożynki" napisał:

„Ponęta bibliofila — same
białe kruki:
Więc „Iliada" Homera,
Cycerona „Mowy",
Rymy Kochanowskiego —
pierwszego wydania,
Skargi i Birkowskiego
„Sejmowe kazania"
Dzieła Reja, Morsztyna,
„Śpiewy" Niemcewicza,
„Pan Tadeusz" i „Dziady",
„Konrad" Mickiewicza;"

Brak dostatecznej ilości egzemplarzy utworów Mickiewicza powodował, że czytano je z rękopiśmiennych kopii. Do miasteczek, dworków szlacheckich Kielecczyzny przywozili je studenci, uczniowie gimnazjów uczący się w Radomiu, Kielcach i w innych miejscowościach kraju. Tak np. kilka wyjątków z czwartego tomu „Poezji" Mickiewicza przywiózł w roku 1842 do wsi Klikawy Ludwik Lipski, absolwent radomskiego gimnazjum i Kursów Prawnych w Warszawie, członek konspiracyjnego kółka Tomasza Wernera. Za lekturę tych m.in. utworów aresztowano ojca Ludwika Lipskiego i brata Alfreda. Odpisy bliżej nieznanych wierszy Mickiewicza przywiózł w 1837 r. z Krakowa do Kielc Karol Bogdaszewski, organizator kieleckiej komórki SLP.

Istnieją wskazówki, że twórczość Mickiewicza znali też pochodzący z Kielecczyzny spiskowcy Ściegiennego. Wiadomo np., że pierwsze cztery wersy „Ody do młodości" służyły niektórym konspiratorom za rozpoznawcze hasło. W ten sposób Karol Klatt (kancelista Konsystorza Ewangelickiego w Warszawie) skontaktował Władysława Witkowskiego aplikanta przy stołecznym Zarządzie Komunikacji, z Janem Nowakowskim, komornikiem przy Trybunale Cywilnym Guberni Sandomierskiej w Radomiu.

W „Liście Ojca Świętego do rolników i rzemieślników" (1840—1841) Ściegiennego znajduje się taka oto przypowieść:

„Wszyscy przyrzekli sobie wzajemną pomoc w każdym przypadku, a uwiadomiwszy jedni drugich o napadach i zamiarach rozbójników, czekali okazania się tych złoczyńców.

Dwa lata upłynęło, a złodzieje nie pokazali się [...]. Przez ten czas opatrzyli się gospodarze w pałki, dzidy, kosy i siekiery.

Pokazali się złodzieje — napadli wieś. Gospodarze wezwali pomocy innych. Wezwani natychmiast przybyli z czem kto miał, otoczyli złodziei, rabunkiem zatrudnionych, i jednych połapali, powiązali, drugich — broniących [się] pozabijali [...].

Od tego czasu każdy gospodarz spokojnie w domu zasypiał i był pewnym, że mu nikt pracy nie wydrze".

Opowieść ta najprawdopodobniej powstała z inspiracji Mickiewiczowskich „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", w których znajdują się fragmenty o wytępieniu wspólnym wysiłkiem wilków zagrażających owcom rolników angielskich.

Inną przypowieść z „Ksiąg narodu polskiego" Ściegienny wykorzystał w pracy „Trzeba tylko chcieć" (1843). U Mickiewicza znajduje się przypowieść o „jamie", w której znajduje się społeczeństwo polskie po załamaniu się ruchu narodowowyzwoleńczego w Polsce. Owa „jama" symbolizuje apatię społeczeństwa, liczenie na walkę mocarstw europejskich z Rosją. Podobną funkcję pełni jama u Ściegiennego. Napisał on:

„Chociaż jesteśmy w jamie, biją jednak na nas ze wszystkich stron mroźne, dokuczliwe wiatry i burze, ciężar łapy nas gniecie — my się tylko kulimy, stękamy, jęczymy, narzekamy, a środków zasłonienia się, wyswobodzenia się nie przesiębierzemy. [...] Wyjść jednak z jamy, wydobyć się spod łapy, oswobodzić — to nie jest trudno. Volenti nihil difficile — trzeba tylko chcieć... [...] przyrządźmy mocną drabinę, oprzyjmy ją na tęgim gruncie, a po szczeblach z największą łatwością [...] na otwarte i miłe powietrze wyjdziemy".

W „Aforyzmach o urządzeniu społeczeństwa ludzkiego" (1841) Ściegienny przypomniał historię tajnych towarzystw Filaretów i Filomatów. Przy jej sporządzaniu wykorzystał III część „Dziadów", a ściślej opowiadanie Sobolewskiego o wywożeniu więźniów na zesłanie do Rosji. Ściegienny napisał:

„W r. 1824 z Wilna niewinnych młodzieniaszków z łona matek wydartych srodze kij[a]mi przy śledztwie skatowanych, obciążonych nad siły kajda[na]mi na Sybir wywożono. Lud z kościoła wyleciał, aby się przyglądał tak okropnemu widokowi. Nikt się przecież za niewinnością nie odezwał!!".

Echa znajomości twórczości Mickiewicza znajdują się w kryptopolitycznych wierszach zamieszczonych w jedynym w Królestwie Polskim, pozawarszawskim, prowincjonalnym radomsko-sandomiersko-kieleckim almanachu „Radomianin" (1848). Chodzi tu o sonet autora ukrywającego się pod kryptonimem MM pt. „Do Matki. W wiliją Bożego Narodzenia" oraz inny jego wiersz „Do...". Ten ostatni wyraźnie adresowany jest do Adama Mickiewicza:

Przebacz, o wieszczu wielki!,
że przed tobą rymem
Skarżę się — lecz się skarżę,
jak przed ojcem dziecię,
Jako uczeń przed Mistrzem,
karzeł przed olbrzymem,
Jako ziemia przed słońcem,
na długie ochmurze,
Niepogodę, niepłodność
i szkodę w naturze [...]
Wdzięczności to mej wyraz —
być może niewdzięczny,
Hybernat przebudzony, czyż
wyda, co czuje?
Za przebudzenie jednak,
jak może dziękuje.

Odnotowane tu nieliczne przykłady recepcji twórczości Mickiewicza wskazują na jej żywotność na Kielecczyźnie. Mimo wysiłku władz administracyjnych, zmierzających do wyeliminowania z obiegu utworów poety, krążyły one po Kielecczyźnie, były czytane. Budziły uczucia narodowe młodzieży, uczyły ją patriotyzmu i internacjonalizmu. □

ZDZISŁAW SZELĄG

OPOWIADANIE

Księżyc

Zdzisław Antolski

KSIĘŻYC w pełni oświetlał śnieżną równinę, po której śpiesznie maszerowało dwóch mężczyzn. Zamarznięty śnieg skrzypiał pod rytmicznymi uderzeniami ich butów.

— Stryjek opowiadał — mówił młodszy — że kiedyś szło przez noc dwóch ludzi. Jeden miał pieniądze, a drugi chciał mu je zabrać. Wyciągnął nóż, żeby go zabić. „Zakłuję cię — powiada — bo i tak nie ma świadków. Nikt się nie dowie". A tamten podnosi palec do nieba i mówi: „Ten księżyc będzie moim świadkiem. Nigdy już nie zaznasz spokojnej nocy. On ci przypomni o straszliwej zbrodni".

— Głupie gadanie — rozzłościł się starszy.

— To był bandyta, a my jesteśmy żołnierzami. No nie? — pytał młodszy.

— Za dużo gadasz — uciął starszy.

Wyszli teraz na przetartą drogę. Księżyc migał pomiędzy gołymi, czarnymi konarami przydrożnych drzew. Młodszy nie mógł się powstrzymać i ślizgał się ze śmiechem po zamarzniętych kałużach. Zarumienił się na okrągłych policzkach. Rozcierał sztywne od mrozu ręce i bił nimi o boki na furmański sposób. Starszy obciągał długą katanę, przepasaną cienkim rzemykiem.

— Jak myślisz, co Fronczek zawinił? — zapytał młodszy.

— Nie nasza sprawa — odburknął starszy.

— Na pewno zdradził — powiedział młodszy z przekonaniem.

— Ilu ludzi przez niego zamęczyli.

Szli w milczeniu, wyciągając nogi.

— Nie zgubiłeś papieru? — zaniepokoił się młodszy. — No, wyrok?

— Nie bój się.

— Bo musi być legalnie. Jak należy...

— Cicho bądź!

Znów zamilkli na dłuższą chwilę.

— Który z nas będzie czytał? Wiesz, co tam jest napisane? — nie wytrzymał młodszy.

— Umiem na pamięć.

— A jak pistolet się zatnie? Co wtedy zrobimy?

— Nie zatnie się.

Na zakręcie wyskoczyła, jak spod ziemi, mała, pochylona chałupa. Dalej były tory kolejowe, sterczące słupy linii telefonicznej i szara bryla miasteczka. Skuleni, przesuwali się pod ścianą. Okno do połowy było zasłonięte białą, pomarszczoną firanką. Przeświytywał zza niej jakiś kwiatek w doniczce. Na ścianie, w złoconych ramkach, wisiał brązowawy obraz z podobizną Chrystusa, wskazującego swoje obnażone serce. Na suficie majaczył wielki cień lampy naftowej i sylwetka schylonego nad stołem człowieka.

— Nie śpi — zachichotał nerwowo młodszy.

Zastukali do drzwi.

— Kto tam? — odezwał się chrypliwie gospodarz.

— To ja, Franek. Otwórzcie, stryjku — piskliwie wołał młodszy.

— A gdzież cię licho po nocy nosi? — gderał gospodarz, majstrując przy zasuwce.

Rozległy się dwa płaskie strzały, jakby ktoś kijem uderzył w wodę. Przygarbiony człowiek upadł na stół. Potrącił lampę, która zgasła.

Rys. Andrzej Grabiwoda

Zatrzymali się zdyszani za zakrętem, kiedy chałupa znikła, przysłonięta pagórkiem. Starszy zapalił papierosa. Wyciągnął zza pazuchy pistolet. Położył go na otwartej dłoni i podsunął młodemu pod nos.

— Masz, potrzymaj — powiedział oschle, z wysiłkiem. — Co, nie chcesz? Zawsze mi go zazdrościłeś...

— Dlaczego nie przeczytałeś mu wyroku? — wybuchnął gniewnie młodszy. — Miało być legalnie. Jak należy...

Rozpłakał się nagle, po dziecinnemu rozcierał łzy po policzkach. Starszy opuścił ręce bezradnie, wzdłuż tułowia, jakby zabrakło mu sił.

— Nie wiem — powiedział z namysłem. — Ja bałem się... Ja pierwszy raz...

Księżyc przesuwał się obok nich. Migotał spomiędzy czarnych konarów drzew.

□

ZDZISŁAW ANTOLSKI

plastyka

Odkrywanie znaczeń natury

W KIELCACH otwarta została Galeria Sztuki Współczesnej „TAT". Jej gospodarz, Jacek Tomala, w czasie studiów prowadził galerię sztuki w rodzinnym Poznaniu. Los jednak chciał, by przeniósł się do Kielc i tu założył nową galerię. Usytuowana w centrum miasta na ulicy Leśnej, w świeżo wyremontowanych piwnicach urzeka swą kameralnością i domowym wręcz nastrojem. Za zadanie przyjęto tu propagowanie i sprzedaż sztuki współczesnej, w tym grafiki, malarstwa oraz rzemiosła artystycznego związanego przede wszystkim z niebanalnym wyposażeniem mieszkania. Swą działalność ekspozycyjną Galeria rozpoczeła wystawą prac Zbigniewa Kurkowskiego.

Malarstwo Zbigniewa Kurkowskiego znane dobrze kieleckim bywalcom galerii posiada również szerszy, ogólnopolski krąg odbiorców. Uznane powszechnie przez tak zwaną „szeroką publiczność" zyskało też wysokie oceny krytyków sztuki i wybrednych koneserów. Głównym nurtem sztuki Kurkowskiego jest pejzaż. W tej właśnie tematyce (prezentowanej na trwającej wystawie) artysta wypowiada się najpełniej i najbardziej osobiście. Skąd bierze się popularność Kurkowskiego — pejzażysty, skąd tak liczne grono sympatyków, a czasem fanatycznych wręcz wielbicieli, skąd wreszcie naśladowcy, ba, nawet w podobnej konwencji malujący uczniowie? By odpowiedzieć na te pytania nie wystarczy przykleić pracom Kurkowskiego kilku etykietek, np. „impresjonizm", „tasizm", „informel" itd. Z tradycji impresjonistycznej pozostała wyłącznie „momentowość" ujęcia przyrody, utrwalenie mijającej bezpowrotnie „twarzy" pejzażu, choćby słonecznego rozbłysku w szczelinie między chmurami czy głuchego trwania śnieżnej płaszczyzny. Ową „momentowość" odnosić też można do dynamiki malarskiego zapisu, szeroko prowadzonego duktu pędzla i to już wszystko. Mówienie o taszyzmie na podstawie przypadkowego zacieku farby jest nieporozumieniem, a sztuce informel wręcz nadużyciem. Wypadałoby raczej zapytać o źródła malarstwa Kurkowskiego, o pierwotne jego inspiracje. Wiadomo powszechnie, że każdy pejzażysta „z krwi i kości" nawiązuje do wielkich swych poprzedników, mistrzów pejzażu, którzy dla tak uniwersalnego tematu potrafili znaleźć kształt najpełniejszy i oryginalny. Od tradycji tej uwolnić się nie sposób i do niej też nawiązują artyści współcześni.

Dla sztuki polskiej kulminacją malarstwa pejzażowego był okres modernizmu — przełomu XIX i XX wieku. Wystarczy wymienić indywidualności tej miary co Jan Stanisławski, Ferdynand Ruszczyc, Wojciech Weiss, Konrad Krzyżanowski. W tym znamiennym dla kultury polskiej okresie sztuka stała się enklawą dla zagrożonej zaborami narodowej tożsamości, a natura jaką odzwierciedlała — jedynym, nieskażonym jeszcze ośrodkiem zyskującym często znaczenie tajemnicze i mistyczne. Stąd właśnie szczególna ekspresja pejzaży i przełomu wieków, ich przejmujący i zawsze znaczący ton. Do modernistycznej tradycji nawiązują współcześni polscy pejzażyści: Barbara Jonscher, Jerzy Stajuda, Stanisław Rodziński. Nią też w znacznym stopniu inspirować się zdaje malarstwo Zbigniewa Kurkowskiego, a przypuszczac można że pejzaże Jana Stanisławskiego wywarły kiedyś na artyście wrażenie szczególne.

Obok ciągłego kontaktu z artystyczną tradycją pejzażysta musi posiadać ogromną wrażliwość na naturę, specyficzny „słuch malarski". Tak jednak jak inteligencja niewiele jest warta bez wiedzy, tak i artystyczna wrażliwość wyrażać powinna określony stosunek twórcy do natury wynikający z szeroko rozumianego światopoglądu. Jednym słowem dojrzały artysta musi mieć osobowość, a z niej wynika określona postawa w stosunku do natury. I znów by zwiększyć nieco perspektywę wypada powrócić do przełomu wieków, kiedy to w malarstwie polskim kształtowały się dwie zasadnicze postawy: ekspresjonistyczna i symbolistyczna. Pierwsza z nich polegała na traktowaniu człowieka i natury jako bytów ontologicznie przeciwstawnych, nawzajem się wykluczających. Człowiek wtrącony w żywioł natury podlega jej odwiecznym siłom wzrostu i zamierania, ulega wiośnie zmysłów, ginie wraz z nadchodzącą jesienią. Jego krzyk (jak w słynnym obrazie Muncha) ginie w stokroć potężniejszym krzyku natury. By się przed nią bronić tworzy cywilizację, lecz ta jak obraz przewrotnych zwierciadeł powraca do niego, zamyka go w labiryncie ulic wielkiego miasta, odbiera indywidualność, niszczy. Postawa ekspresjonistyczna trwa w sztuce polskiej do dnia dzisiejszego, a jej egzemplifikację stanowić mogą wcześniejsze mroczne pejzaże Zbigniewa Kurkowskiego o surowej kolorystyce przedstawiające rozmigotane światłami miasta, nad którymi zawisło niskie, groźne niebo.

Drugą ze wspomnianych postaw określono jako symbolistyczną. Wynika ona z przekonania o materialno-duchowej jedności natury, jej ontologicznej tożsamości przejawiającej się na każdym szczeblu rozwoju. W tym wypadku człowiek

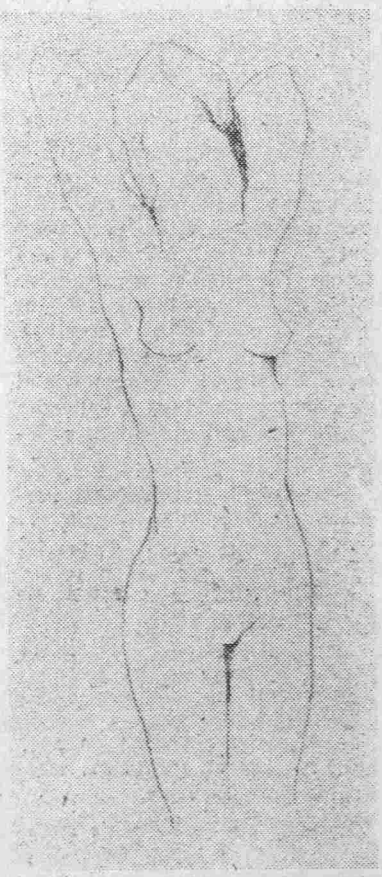

Zbigniew Kurkowski — *„Akt na czerwonym tle"* (rysunek tuszem).

nie jest naturze przeciwstawiony lecz stanowi organiczną jej część. Artysta natomiast ukazując z zasady pejzaż czysty (pozbawiony obecności człowieka) odsłania prawdziwy sens natury, staje się pośrednikiem między nią a odbiorcą dzieła sztuki. Postawa taka wymaga pokory, zaniechania mówienia o sobie, a wreszcie, co najistotniejsze, traktowania natury jako rzeczywistości uduchowionej, wykraczającej swymi znaczeniami poza sferę materialną. Ona też zdaje się określać ostatni okres twórczości Zbigniewa Kurkowskiego, a z wyznaczonej przez nią perspektywy wspomniana impresjonistyczna „momentowość" staje się cechą drugorzędną. Nie chodzi bowiem przede wszystkim o uchwycenie chwili lecz o odsłonięcie ponadczasowych znaczeń natury, znaczeń uniwersalnych, a jednocześnie nierozerwalnie związanych z charakterem ojczystego pejzażu. Ileż to bowiem splątanych i nie dających się zwerbalizować skojarzeń prowokują przedstawione w obrazach Kurkowskiego zamglone górskie pejzaże, biedne, sosnowe zagajniki rozciągające się na piaszczystych równinach, targane wiatrem nadmorskie trawy czy wieńczące pejzaż wieże kościołów. Z doboru motywów właśnie i ze sposobu ich traktowania odczytać można zasadniczą postawę twórcy — p[illegible] symbolisty.

W każdej bogatej w realizacje twórczości da się też odnaleźć punkt słabszy, niosący pewne zagrożenia. Dla malarstwa Kurkowskiego jest nim chyba, choć brzmi to paradoksalnie, zbytnia łatwość malowania, jak to określali manieryści „spezzatura", czyli wirtuozeria graniczące z nonszalancją. Prowadzić ona może do malowania natury bez natury, pejzażu bez pejzażu, pleneru w pracowni. Miejmy jednak nadzieję, że nigdy to nie nastąpi. □

ŁUKASZ KOSSOWSKI

Chroberz'83

POD takim właśnie hasłem odbył się kolejny plener malarski z cyklu kieleckich plenerów. Było to już siódme plastyczne spotkanie na Ponidziu częściowo o charakterze ogólnopolskim jako że wzięli w nim udział, oprócz kieleckich, malarze z Częstochowy, Łodzi, Krakowa, Warszawy, Wrocławia i Śląska. Może — w przyszłości — uda się powrócić do pleneru międzynarodowego (w 1981 roku plener sandomierski był tego namiastką) jako że zarówno tradycja malarstwa krajobrazowego na Kielecczyźnie jest niezwykle bogata a i region pod względem pejzażu malowniczy, co artystycznie udowodnili fotograficy z Kieleckiej Szkoły Krajobrazu.

Plenery artystyczne są jedną z ważniejszych form samokształcenia poprzez bezpośrednią wymianę doświadczeń plastycznych i tworzą inspirację co sprzyja integracji środowiska plastycznego. Ze społecznego jednak punktu widzenia ważniejsze są efekty artystyczne w formie stworzonych prac i ich późniejsze publiczne funkcjonowanie m.in. poprzez wystawę.

Eksponowana w Galerii BWA „Piwnice" poplenerowa wystawa zwracała uwagę nie tylko rekordową ilością prac, lecz także bardzo przyzwoitym poziomem artystycznym w porównaniu z podobnymi ekspozycjami. Można co prawda znaleźć prace (dwóch — trzech autorów) nie spełniające wymogów artystycznych lecz na szczęście zostały one „ukryte" w tej demokratycznej ekspozycji.

Na szczególną uwagę zasługiwały prace artystycznie nowe, kreacyjne: do takich należały dynamicznie komponowane wewnętrzne krajobrazy Henryka Papierniaka, przywołujące siłę ekspresji w malarstwie. Podobnym tropem artystycznym porusza się w swych rysunkach Tadeusz Maj, chociaż jego prace bliższe są przedmiotowemu widzeniu Natomiast za uporczywe i konsekwentne szukanie sensu w abstrakcyjnych formach i układach cenić należy twórczość Zbigniewa Moralskiego (eksponowane cztery pory doby) Na pograniczu nurtu ekspresywnego i dekoratywnego plasuje się twórczość Zdzisława Surowca, Czesława Łagowskiego i Adama Wolskiego (ten ostatni lepiej kiedyś malował). Nurt malarstwa lirycznego, przepojonego przyrodniczym i odautorskim subtelnym nastrojem reprezentują prace Jolanty Winiszewskiej (szczególnie „Wieczór nad Nidą"), spokojne, rozbielone krajobrazy Stanisława Mazusia, malownicze wiejskie zakątki Elżbiety Ledeckiej i artystycznie najbardziej dojrzałe, chłodne o obniżonym horyzoncie krajobrazy Witolda Kowalskiego. Na uwagę zasługiwały pełne wirtuozerii formalnej prace Alojzego Siweckiego.

Dostojny obraz Leszka Kurzei, nastrojowo-sentymentalne obrazy Adeli Wiśniewskiej czy też mocno w realizmie barw osadzone ciemne krajobrazy Janusza Salwieraka. Delikatne pejzaże Stefana Chabrowskiego nie wytrzymują barwnej konkurencji zbiorowej ekspozycji. Adolf Wajncetel-Wański pokazał jeden niezły obraz, Kazimierza Perlińskiego prace były dosyć różne... można by wspominać i inne, ale bardziej zasługują na uwagę akwarele Andrzeja Grabiwody, które są najbardziej akwarelowo przezroczyste i świadczące o dużej swobodzie malarskiej autora, przyzwoite portreciki Antoniego Bieleckiego czy dokumentacje widoków wykonane przez Bolesława Cetnera.

Wspomnieć należy jeszcze malarza o dużej sprawności malarskiej a nawet zbytniej łatwości manualnej (Kazimierz Kędzia) ponieważ jednak znamy z poprzednich plenerów dużo lepsze prace tego autora, trudno w obecnych doszukiwać się poważniejszych walorów. Nie zawiódł jak zwykle Bohdan Kiszka, ze swą miłością do koni i tego co szczere i prawdziwe.

Plener ten jeszcze raz poświadczył prawdę, że ci twórcy, którzy mają coś do powiedzenia i umieją to robić nie zawodzą a nawet doskonalą swój język przekazu i prezentują coraz ciekawsze prace. Zdarzają się i inne niestety postawy wobec sztuki, bardziej wstydliwe, do ukrycia... Ale dosyć wybrzydzania, gdyż tak dobrej wystawy plenerowej dawno nie widziałem, co świadczy zarówno o tej dobrze, jak o podobnych nie najlepiej. □

GALERNIK

Tadeusz Maj — *„Efemeryda"* (rysunek tuszem)

Fot. PAWEŁ PIERŚCIŃSKI

Rzecz o niezłomności

LATA wojny i okupacji hitlerowskiej na ziemi koneckiej wzbudzają żywe zainteresowanie dziejopisów. Po niedawnej książce Jacka Wilczura „Sosny były świadkami" (wyd. MON, Warszawa 1982), ukazała się kolejna publikacja*) obrazująca inny wycinek historii powiatu koneckiego pod niemieckim panowaniem: tajne nauczanie, walkę oraz martyrologię nauczycieli i młodzieży.

Autorka książki, Henryka Sasal-Sadowska, przez wiele lat — w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i po wyzwoleniu — nauczała w różnego typu szkołach na Kielecczyźnie. Swój okupacyjny życiorys związała z ziemią konecką, więc jak mało kto była predystynowana do zajęcia się dziejami tamtejszego szkolnictwa tajnego.

Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę, że naród pozbawiony możliwości edukacji karleje, przestaje być narodem w pełnym znaczeniu tego słowa. Bardzo rychło nastąpiła likwidacja szkolnictwa wyższego i średniego. Na ziemi koneckiej działo się tak samo, jak we wszystkich zakątkach okupowanego kraju. W Końskich po dwóch miesiącach funkcjonowania zamknięto Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące, zezwolono jedynie na działalność dwu szkół podstawowych i uruchomiono w bardzo ograniczonym zakresie szkolnictwo zawodowe, pozostające pod czujną opieką niemieckich władz oświatowych.

Te eksterminacyjne zarządzenia niemieckie bardzo szybko doczekały się odpowiedzi ze strony środowiska nauczycielskiego i uczniów. Już w listopadzie 1939 r. istniały na terenie Końskich pierwsze komplety tajnego nauczania, początkowo w zakresie programu wyższych klas szkoły powszechnej, później szkolnictwa średniego. Wkrótce podziemne nauczanie ujęte zostało w ramy konspiracyjnej Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, której komórka, podobnie jak w całym okupowanym kraju, powstała w Końskich. Tajne nauczanie zataczało coraz szersze kręgi obejmując wszystkie gminy powiatu koneckiego. Zajmowało się nim 170 nauczycieli na szczeblu szkoły powszechnej i ponad 30 średniej, ucząc ych setki uczniów.

Henryka Sasal-Sadowska oparła swą pracę na dość bogatej bazie źródłowej, jeżeli chodzi o historię tajnego nauczania, natomiast mniej wnikliwie wykorzystała materiały archiwalne i już opublikowane, do części książki poświęconej walce oraz martyrologii nauczycieli i młodzieży. A przecież, co łatwo zauważyć, jest to praca naukowa z niezbędnymi szykanami w postaci przypisów, bibliografii i indeksów. O ruchu oporu w Koneckiem, zwłaszcza o działalności AK, znajdują się materiały w Centralnym Archiwum PZPR, zapewne można by tam znaleźć coś interesującego o działalności konspiracyjnej koneckich nauczycieli i młodzieży. Podobnie jeżeli chodzi o martyrologię, autorka nie wykorzystała archiwaliów Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i Okręgowej w Kielcach. Głównym źródłem jej informacji w tym zakresie są przestarzałe w pewnym sensie prace J. Fajkowskiego i artykuł T. Mączyńskiego sprzed 13 lat. Dziwi też pominięcie prasy kieleckiej, a sięgając choćby do niej — mogłaby autorka ustrzec się niektórych błędnych dat, liczb czy sformułowań, np.: w Skłobach zginęło 265 osób, a nie 228, tzw. pacyfikacje hubalowskie pociągnęły za sobą ponad 700 ofiar. Zostały one przeprowadzone pod bezpośrednim dowództwem Kruegera — wyższego dowódcy SS i policji na Generalną Gubernię i Katzmana — ówczesnego dowódcy SS i policji w dystrykcie radomskim. Autorka jako rozkazodawcę tej akcji podaje natomiast Fritza Liphardta, komendanta Policji i Służby Bezpieczeństwa w dystrykcie radomskim, określając go jako SS-mana. W tym kontekście czytelnik może sądzić, że był on zwyczajnym (szeregowym) członkiem SS, tymczasem posiadał stopień Obersturmbannfuehrera SS, czyli podpułkownika. Niepełne (czy konieczne?) są wstawki w tekście o działalności Orła Białego w Skarżysku. Mylne jest pojęcie „obozu wojskowego w Baryczy", gdzie, jak wiadomo, Niemcy urządzili cmentarzysko radzieckich jeńców wojennych zmarłych bądź rozstrzelanych w obozie w Końskich. Trochę nieścisłości zakradło się też do opisu walk ppor. Waldemara Szwieca „Robota". I jeszcze jedna drobna sprawa. Wspominając broszurkę „Partyzanckim szlakiem" autorka pisze, że odbito ją w drukarni leśnej w Borowcu. Istotnie, widnieje na niej napis „Drukarnia Leśna", ale ci, co ją drukowali, uczynili to właśnie dla zmylenia niemieckiej czujności. Broszurka drukowana była bowiem w Skarżysku, w drukarni Konstantego Rakowskiego. A ponadto zamieszczone w niej piosenki nie były śpiewane przez wszystkich partyzantów (tu autorka wymienia wszystkie główne ugrupowania Polski Podziemnej), a tylko przez żołnierzy AK i BCh, a zwłaszcza wśród partyzantów zgrupowań „Ponurego", gdzie w większości powstały.

Książka H. Sasal-Sadowskiej nie jest wolna od błędów, ale te drobne w sumie potknięcia (poważniejsze braki to skromniutki opis działalności konspiracyjnej koneckich nauczycieli i uczniów), choć momentami irytujące, nie są w stanie przeważyć zalet opracowania. Autorce należą się słowa uznania za to, że jeszcze jeden mały fragment okupacyjnych dziejów naszego narodu doczekał się swojej monografii. □

(LK)

*) HENRYKA SASAL-SADOWSKA — *„W poszumie lasów koneckich. Tajne nauczanie, walka, martyrologia nauczycieli i młodzieży w powiecie koneckim w okresie okupacji 1939—1945"*. Wydawnictwo Literackie Kraków—Wrocław, 1983, s. 247 + ilustracje, cena 90 zł.

Z regionalnej witryny

MARTA PAWLINA-MEDUCKA — *„Życie kulturalne Kielc 1918—1939"*. Kieleckie Towarzystwo Naukowe — Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa—Kraków 1983, s. 209, cena 120 zł.

Po opublikowaniu w 1977 r. pracy Józefa Grzywny na temat oświaty i kultury w powiecie kieleckim na półkach księgarskich ukazała się rozprawa doktorska M. Meduckiej poświęcona życiu kulturalnemu Kielc w okresie międzywojennym. Pierwszy rozdział, mający wyraźnie charakter wstępu rzeczowego, omawia tradycje kulturalne Kielc i warunki rozwoju kultury w latach 1918—1939. Ujęcie to ze względu na ogólnikowość pozostawia pewien niedosyt, a czasami razi uproszczonymi, schematycznymi ocenami niektórych zagadnień. Kolejny rozdział przedstawia politykę kulturalną władz samorządowych, państwowych i Kościoła oraz programy kulturalne partii politycznych i organizacji społecznych. Najobszerniejszy rozdział trzeci poświęcony jest omówieniu działalności kieleckich instytucji kulturalnych. Otwiera go analiza bibliotek (s. 67—76), która sygnalizuje jedynie pewne, nie zawsze najważniejsze aspekty ich działalności. Wynika to chociażby z porównania treści tego podrozdziału z częściowo opublikowanymi wynikami badań Ludmiły Kowalczyk-Mroczkowskiej na temat Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Kielcach w latach 1908—1948. Innym bibliotekom poświęcono zresztą zaledwie niespełna dwie strony druku. Także omówienie dzia-

łalności księgarń i drukarni nie wykracza zbytnio poza ustalenia zawarte w rozprawie Stanisława Januszka i pracy zbiorowej pt. „Almanach drukarstwa Kieleczyzny".

Specjalisty nie zadowoli też stosunkowo obszerne omówienie prasy (s. 88—117), chociażby ze względu na brak wielu elementów typowej analizy prasoznawczej. Na marginesie można dodać, że kieleckim pismom szkolnym poświęciła ostatnio trzy artykuły Danuta Adamczyk. W rozdziale tym omówiono ponadto działalność teatru i istniejących w mieście towarzystw artystycznych, pominięto jednak na przykład muzeum, które nie znalazło miejsca wśród instytucji kulturalnych.

Postawiony w ostatnim rozdziale problem kieleckiego regionalizmu wymaga wyjścia poza ramy życia kulturalnego i poza kieleckie opłotki. Autorka nie wykorzystała w tym rozdziale dość bogatej już literatury przedmiotu, nawet ściśle związanych z regionem artykułów Danuty Meisner i Ryszarda Świętka. Znacznie słabszy regionalizm wielkopolski doczekał się obszernego studium Barbary Wysockiej, natomiast najsilniejszy w Polsce regionalizm kielecki jest ciągle jedynie sygnalizowany i omawiany w sposób niepełny. Pora chyba na poważne potraktowanie tego tematu.

W pracy praktycznie pominięto życie kulturalne ludności wyznania mojżeszowego, która stanowiła mniej więcej trzecią część ogółu mieszkańców miasta.

Podsumowując powyższe stwierdzić można, że ze względu na zbyt szeroki zakres tematyczny lektura omawianej pracy pozostawia pewien niedosyt. Szereg poruszonych w niej zagadnień wymaga jeszcze szczegółowych badań, opartych na gruntowniejszej kwerendzie źródłowej. (Z.G.). □

JAN LESZEK ADAMCZYK, JERZY SZCZEPAŃSKI — „*Park miejski w Kielcach*". Biuro Dokumentacji Zabytków, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Kielcach, Kielce 1983, s. 22, cena 30 zł.

Zainicjowana przez kieleckie Biuro Dokumentacji Zabytków seria „Źródła do dziejów Kielc" obchodzi maleńki jubileusz. Ukazał się bowiem kolejny, piąty już zeszyt serii poświęcony tym razem parkowi miejskiemu w Kielcach. Autorami opracowania są „nasi" dobrzy znajomi, Jan Leszek Adamczyk i Jerzy Szczepański, którzy przygotowali wcześniejsze zeszyty wydawnictwa.

Formalną decyzję o utworzeniu kieleckiego parku podjęła Rada Administracyjna Królestwa Polskiego w dniu 17 marca 1830 roku. Oddano wówczas miastu dawny ogród górniczy z przeznaczeniem na *„użytek publiczny"*. W kilka lat później zauważono, iż *„ogród publiczny sztakietami, kanałem murowanym i barierami ogrodzony, rozprzestrzeniony, klumbami zagajony jest ozdobą okolicy i wygodą mieszkańców, znajdujących tu odetchnienie, cień i świeże powietrze"*. Odtąd aż po dzień dzisiejszy park miejski służy kielczanom jako miejsce wypoczynku i od czasu do czasu rozrywek kulturalnych. Jak wyglądało to dawniej — dowie się czytelnik z książeczki J. Adamczyka i J. Szczepańskiego. Wystarczy powiedzieć, że ongiś czynna była w parku restauracja, zaś orkiestra pułkowa dawała bezpłatne koncerty w czwartki, soboty, niedziele i święta. Łza się w oku kręci, gdy się o tym czyta...

Historię kieleckiego parku napisali autorzy w oparciu o wyniki rozległej kwerendy przeprowadzonej w Archiwum Głównym Akt Dawnych, Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, w wojewódzkich placówkach archiwalnych w Kielcach i Radomiu. Chociaż opracowanie nie jest objętościowo duże (zgodnie z założeniami serii) to jednak otrzymaliśmy pełny i dość wyczerpujący obraz dziejów parku i kolejnych etapów jego rozwoju przestrzennego. Jest bowiem książeczka niemal wzorcowym przykładem, jak należy wykorzystywać źródła do... wydawnictw źródłowych.

Tradycyjnie publikacja, jak poprzednie w serii, jest bogato ilustrowana planami parku, projektami przebudowy oraz zdjęciami przedstawiającymi dawny jego wygląd. Dziwi brak na okładce znaczka rozpoznawczego serii, czyżby przeoczenie w druku? □

ZBIGNIEW OSSOLIŃSKI — *„Pamiętnik"*. Opracował i wstępem poprzedził Józef Długosz. Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1983, s. 250, cena 200 zł.

„Pamiętnik" — powtórzmy od razu dwa pierwsze zdania obszernego i wyczerpującego wstępu — stanowi ważne źródło historyczne dotyczące ostatniej ćwierci XVI i pierwszego dwudziestolecia XVII wieku. Zarazem jest cennym zabytkiem języka polskiego z tego okresu.

Notę o „Pamiętniku" pomieszczamy zaś skromnie w tej rubryce z tego względu, że choć Zbigniew Ossoliński (1555—1622) zajmuje się w swoim raptularzu głównie wieloma ważnymi w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej momentami — starczy tu wspomnieć rokosz Zebrzydowskiego, wyprawę na Moskwę, czy klęskę pod Cecorą — to przecie jako sandomierzanin, właściciel rodowego Ossolina, Zakrzowa, Wilkowic, Ciepielowa, Iwaniska i Sieciechowa, tudzież założyciel miasta Klimontowa na dobrach dawnej wsi Ramułtowice oraz stały uczestnik sejmików opatowskich jest dla miłośników historii regionu i od tej strony postacią interesującą. Onże (jeszcze jako młody królewski dworzanin uczestniczył w wydarzeniach związanych z pierwszym wystawieniem „Odprawy posłów greckich" Jana Kochanowskiego) spokrewniony był przez swoją pierwszą żonę ze sławnym arianem Janem Sienieńskim, założycielem szkoły dysydenckiej w Rakowie, zmienił jednak potem wyznanie i żeniąc się jeszcze trzykrotnie ze średnio zamożnego szlachcica stał się nie tylko bogaczem, ale i liczącym się politykiem, dochodząc do urzędu wojewody sandomierskiego — czwartego w hierarchii senatorskiej Rzeczypospolitej. □

„Tradycję przemysłowe Starachowic". Miejski Komitet Stowarzyszenia Inżynierów i Techników-Mechaników Polskich, Starachowice 1983, s. 155.

W 1968 r. obszerną rozprawę poświęconą dziejom Starachowic — osiedla i zakładów do 1939 r. poświęcił Jan Pazdur. Bogatym dziejom przemysłu starachowickiego aż po dzień dzisiejszy poświęcona została specjalna sesja popularnonaukowa, zorganizowana we wrześniu br. przez Miejski Komitet SIMP w Starachowicach. Nietuzinkowy był także skład zespołu referentów, wśród których znalazł się tylko jeden historyk. Dobrze to świadczy o zainteresowaniach humanistycznych miejscowego środowiska technicznego. W referatach uwzględniono nie tylko historię Zakładów Starachowickich, lecz także dzieje przemysłu drzewnego, spółdzielczego i przerobu bazaltu w tym ośrodku. (Z.G.) □

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA — *„Z miejsca na miejsce"*. Wydawnictwo Literackie, Kraków — Wrocław 1983, s. 118, cena 40 zł.

Bohaterem omawianej książki jest Roman Rodziewicz, którego relacje wykorzystał M. Wańkowicz w „Hubalczykach". Urodził się w Ławskim Brodzie na kresach w 1913 r. Pierwszych dziesięć lat życia spędził w Mandżurii, gdzie jego ojciec przebywał na zesłaniu. W początkach lat trzydziestych wstąpił jako ochotnik do Suwalskiej Brygady Kawalerii, a następnie kończy Podoficerską Szkołę Łączności w Grodnie. Najbardziej znany okres jego życia wiąże się z bohaterską walką w oddziale majora Henryka Dobrzańskiego-Hubala. Po rozwiązaniu oddziału 24 czerwca 1940 r. był oficerem łącznikowym AK. Po aresztowaniu 25 sierpnia 1948 r. przebywał w obozach w Oświęcimiu i Buchenwaldzie. Po wojnie osiadł na stałe w Anglii, gdzie pracował kolejno w walcowni przy prostowaniu stali, kopalni węgla i wreszcie w tokarni. Tyle najbardziej zwięzły biogram. Książka przedstawia niezwykle burzliwe i dramatyczne dzieje tego żołnierza majora Hubala.

□

nie tylko o literaturze

Czy kochać „kryminały"?

Józef Rurawski

PRZYZNAJĘ się. Czytam! Pochłaniam namiętnie! Biegam po księgarniach i antykwariatach w poszukiwaniu brakujących mi tekstów. I zbieram. Z upodobaniem klasyfikując i smakując autorów. I wcale się tego nie wstydzę! A jednak w samym fakcie powyższego wyznania, w stwierdzeniu, że się przyznaję i nie wstydzę, tkwi pewna dwuznaczność, pewne niedopowiedzenie. Z lekturą „kryminałów" jest bowiem trochę tak jak z dyskretną chorobą: można ją mieć lecz nie należy o niej mówić... Dlaczego właściwie? Co jest wstydliwego w fakcie lektury „kryminałów"?

Wiele już gromów rzucano na ten gatunek powieści. Zarzucano „kryminałom", że demoralizują, że są apologią brutalności, występku i zbrodni. (Bowiem „kryminał" bez zbrodni jest jak potrawa bez soli). Co bardziej uczeni w piśmie powołują się na psychologię głębi, mówią o utrwalaniu negatywnych cech społecznych i osobowych. Ba, mówi się nawet, iż „kryminały" uczą przestępstwa. Fakt. Po wyświetleniu filmu „Rififi" wzrosła liczba włamań „na parasol", metodą dokładnie i szczegółowo w tym filmie przedstawioną. Słowem: niemoralne, aspołeczne i w ogóle bzdurne. Szkoda czasu i atłasu.

I wszystko to prawda. A mimo to „kryminał" zwycięża.

Spróbujmy się więc przez chwilę zastanowić nad „kryminałem". Apologia zbrodni? Zwróćmy uwagę na dwie sprawy: po pierwsze, w „kryminale" zbrodnia zawsze zostaje ukarana. Jest to żelazna zasada moralna i gatunkowa. Można by więc chyba powiedzieć, że „kryminał" jest jednym z najbardziej moralnych gatunków literatury. Oczywiście: zbrodniarz nie zawsze musi stanąć przed oficjalnym sądem. Zawsze jednak rozwiązanie powieści musi zaspokoić społeczne poczucie moralności czytelnika. To po pierwsze. Po drugie zaś, motyw zbrodni, przestępstwa, morderstwa jest tak stary jak literatura w ogóle. Ileż zbrodni jest w Biblii, od Kaina i Abla poczynając? A literatura antyczna? A Szekspir? W jego cyklu tragedii (kronik) historycznych tylko sufler pozostaje żywy. Ba, Hamlet zachowuje się przecież niemal jak detektyw. Odtwarza scenę zbrodni, aby doprowadzić do przyznania się mordercy... A Dostojewski ze swoją „Zbrodnią i karą"?

A przecież o żadnym z tych arcydzieł literatury nie powiemy, że jest to „kryminał". Dlaczego? Do tej sprawy wrócimy jeszcze. Teraz zaznaczmy mimochodem ów motyw zbrodni, przestępstwa i rozlanej krwi, jako jeden z głównych motywów całej literatury światowej. Tak się bowiem układa, że zbrodnia i przestępstwo towarzyszą człowiekowi od zarania dziejów. Literatura musi to więc odnotowywać, omawiać i snuć na ten temat refleksje. I nie ma w tym oczywiście niczego niemoralnego, nieetycznego, „nieładnego". Ale też nie byłoby przestępstwem odczytywanie np. „Hamleta" j e d y n i e jako dramatu o s p o s o b i e ujawnienia morderstwa. Można też odczytywać „Zbrodnię i karę" j e d y n i e jako historię pojedynku między sędzią śledczym a zbrodniarzem. Oczywiście, byłoby to zasadniczym spłyceniem idei autora, jego refleksji i wiedzy o człowieku i świecie. Ale możliwość takich odczytań, takich interpretacji przecież istnieje.

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej.

W każdej przestrzeni kulturalnej współistnieją ze sobą teksty zaspokajające różne potrzeby różnych odbiorców w tym samym czasie. Te zespoły odmiennych dzieł, odpowiadających różnym gustom i potrzebom, współistniejące w danych ramach czasowych, w danej przestrzeni społecznej (np. narodowej), nazywane są przez specjalistów obiegami społecznymi literatury. Badacze wymieniają ich aż pięć. Nas interesują dwa pierwsze: obieg wysoki i obieg popularny. Wysoki, to taki, który przynosi dzieła oryginalne, wyrastające z tradycji kultury narodowej lub ogólnoludzkiej, wykazujące cechy „prawdziwej literackości". Popularny zaś to taki, który zaspokaja przede wszystkim potrzeby zabawowe, ludyczne czytelników. Na ogół teksty tego obiegu realizowane są przy pomocy pewnych schematów generujących dany gatunek.

Pamiętajmy jednak o pewnej istotnej sprawie: oto określenie przynależności danego tekstu do obiegu wysokiego lub popularnego n i e r ó ż n i c u j e go według wartości estetycznej. Określenie kręgu obiegu odnosi się do k r ę g u o d b i o r c ó w i typu ich potrzeb obcowania z literaturą, a nie do wartości odbieranych utworów. W każdym z obiegów mogą funkcjonować teksty „dobre" i „złe" (według kryteriów stosowanych wewnątrz obiegów). Nie jest tak, że zła powieść obiegu wysokiego staje się automatycznie dobrą powieścią obiegu popularnego.

Estetyka obiegu wysokiego ceni sobie przede wszystkim oryginalność tekstu. Estetyka obiegu popularnego wysuwa na plan pierwszy sprawną realizację schematów generujących, znanych już przeważnie czytelnikowi z poprzednich lektur.

Tak więc wiemy już, iż „kryminał" należy z całą pewnością do obiegu popularnego. Jego istotą bowiem jest realizowanie pewnych schematów generujących, pewnych podstawowych cech gatunkowych, pewnych „reguł". Fakt zaś, iż „kryminał" jest sterowany schematami powoduje, jak w całym zresztą obiegu popularnym, że jego bohaterowie nie ulegają w toku powieści zasadniczym zmianom i rozwojowi. Mówiąc inaczej: w obiegu popularnym możliwa jest sytuacja i zbrodni, i kary. Nie ma zaś możliwości ukazania przeżyć i przemian Raskolnikowa, który w wyniku swego czynu staje się przecież kimś innym niż był przedtem. Dlatego właśnie w obiegu popularnym nie może powstać „Zbrodnia i kara". Może natomiast funkcjonować motyw i zbrodni, i kary, tyle że pozbawiony owych złożonych refleksji towarzyszących lekturze Dostojewskiego. Sądzę, iż jest już sprawą jasną, dlaczego o żadnym z dzieł Szekspira, Dostojewskiego i wielu innych autorów obiegu wysokiego wprowadzających motyw przestępstwa nie powiemy, że są „kryminałami".

„Kryminał" więc to powieść obiegu popularnego skupiająca uwagę odbiorcy j e d y n i e na przestępstwie, drogach jego wykrycia i ukaraniu sprawcy. Podstawową cechą schematu realizowanego w „kryminale" jest reguła z a g a d k i. Pozwala ona współuczestniczyć odbiorcy w rozwiązaniu. I to współuczestniczenie jest, jak sądzę, jedną z cech przyciągających czytelnika. Ale o tym – za miesiąc. □

Bilans

Stanisław Żak

PRZED pięciu laty, w listopadzie, odbyła się w Teatrze Powszechnym im. J. Kochanowskiego w Radomiu premiera sztuki „Droga do Czarnolasu" w reżyserii Zygmunta Wojdana. Był to początek radomskiej sceny, wokół której toczyły się dyskusje na temat, czy warto? czy trzeba? w jakim celu? Dyskusja swoje, a życie swoje: powstał nowy teatr na „mapie kulturalnej" Polski i trwa. Na przestrzeni tych lat pięciu wystawiono 34 premiery, wśród których odnajdujemy klasykę i dramaturgię współczesną, obok Słowackiego czy Wyspiańskiego – Gombrowicz i Iredyński, obok wielkiego dramatu komedie i przedstawienia dla dzieci, cieszące się niezwykłym wprost powodzeniem, jak aktualnie wystawiany „Przyjaciel wesołego diabła".

Kto śledził od początku pracę radomskiej sceny musi przyznać, że była to praca dynamiczna i celowa, zmierzająca do zaspokojenia potrzeb kulturalnych miasta. W warunkach nader trudnych (brak własnego budynku, Teatr mieści się w UW) powstała mała scena, teraz natomiast dochodzi „scena rapsodyczna". Ten Teatr nie narzeka na brak frekwencji. Paradoks jednak polega na tym, że państwo do każdego widza dopłaca, więc im więcej widzów tym większe „dopłaty" państwa, a to obciąża budżet; dobry byłby więc Teatr „jednego widza", tak jak jest „jednego aktora", wtedy dopłaty byłyby minimalne, wszystko by się opłacało. A ten Teatr szczyci się kompletami widzów, dlatego może się stać nierentowny. Do tej pory jednak przetrwał, bo – jak mówił na konferencji prasowej dyrektor Z. Wojdan – ma możnych protektorów, interesują się pracą Teatru „władze administracyjne i polityczne województwa", ma również bogatych mecenasów w radomskich zakładach pracy. Trudności więc sprowadzają się zasadniczo do jednej tylko sprawy: do nowego budynku, który powstaje już parę ładnych lat i końca nie widać. Dyrektor zapytany, w którym z tych pięciu sezonów był największym optymistą – jeśli był? Odpowiedział: w żadnym.

W radomskim Teatrze widać bardziej niż gdzie indziej, że najważniejsi w każdej inicjatywie i w każdej pracy są ludzie. Można by powiedzieć, że zespół Teatru jest otwarty, to znaczy w każdym sezonie aktorzy odchodzą i przychodzą nowi, najczęściej młodzi. To nie jest bez znaczenia, że w tym sezonie przyjechała grupa siedmiorga młodych ludzi. Jest to także probierz wartości Teatru. Odkąd pamiętam, radomski Zespół zawsze był dobry, od czasu do czasu pojawiały się nawet ciekawe indywidualności. Nic więc dziwnego, że sporo było w tym Teatrze dobrej roboty, udanych inscenizacji, ciekawych rozwiązań reżyserskich, zawsze w przystającej do przedstawienia scenografii najczęściej Karola Jabłońskiego.

Nie dziwi specjalnie w tej sytuacji „Program obchodów jubileuszowych" z racji tego pracowitego pięciolecia, chociaż jubileusze kojarzą się nam z epoką, dziesiątkami lat przeżytych i przepracowanych owocnie, to jednak takie spojrzenie za siebie na przebytą drogę, kiedy widać jej początek, może być zgoła pouczające. Dyrekcja i Zespół Artystyczny Teatru Powszechnego im. Jana Kochanowskiego w Radomiu zaprosiła gości z wielu polskich miast na „Uroczystości Jubileuszowe 5-lecia naszego Teatru, które odbędą się w dniu 12 i 13 listopada 1985 roku w gmachu teatru..." Najcenniejsza w tych uroczystościach była prapremiera polska niezwykle sympatycznej sztuki Andrieja Arbuzowa pt. „Wspomnienie".

Zwykła, choć dramatyczna sytuacja rodzinna, jakie spotykamy na co dzień wokół siebie. Rodzina „dwa plus jeden" i babcia żyje w Leningradzie. On jest astrologiem, rozkojarzonym naukowcem, który popełnia urocze gafy (je obiad w kapeluszu) ku uciesze żony, córki i matki. Im się ciągle wydaje, że on zapatrzony w gwiazdy nie dostrzega ziemi i tego, co się po niej porusza (zwłaszcza kobiety). Ona jest chirurgiem, córka studiuje socjologię, a babcia stawia pasjanse i robi, w przerwach między pasjansami, na drutach. Jednego dnia, wróciwszy do domu, Władimir Turkowski (Włodzimierz Mancewicz) oświadcza żonie Lubow Gieorgiewnie (Grażyna Kłodnicka) i córce Kirze (Ewa Betta) oraz matce Sofii Wasiliewnie (Magdalena Radłowska), że odchodzi. Patrząc w gwiazdy dostrzegł pracującą z nim w Instytucie Zenię (Ewa Pietras), matkę dwu dziewczynek, wdowę po mężu pijaku, którego dwa lata wcześniej samochód potrącił na śmierć. Inne osoby jak Denis Leonidowicz (Arkadiusz Brukner), początkowo epizodyczne i przypadkowe wraz z narastaniem osobistego dramatu małżeństwa Turkowskich, zwłaszcza Lubow Gieorgiewny, stają się postaciami pierwszoplanowymi.

Niezaprzeczalny urok tej sztuki polega głównie na prostocie przekazu niezwykle subtelnych spraw ludzkiego serca, w delikatnej lirycznej oprawie, bez zbędnego wrzasku czy patosu. Wygrała wszystkie te subtelności kobiecego serca, zlekceważonego, odepchniętego, główna bohaterka Lubow Gieorgiewna (G. Kłodnicka), która uratowała przed dwudziestu dwu laty Wołodię, dokonując pierwszej w swoim życiu operacji. Ma więc do niego prawo, ale w takiej smutnej refleksji powiada: przywracając mu życie nie mogę go spętać. Decyduje się na samotność, chociaż bardzo cierpi. Jest to niewątpliwie postać najsympatyczniejsza w przedstawieniu, nie tylko dlatego, że tak ją stworzył Arbuzow, ale przede wszystkim dlatego, że tak ją przedstawiła Grażyna Kłodnicka, aktorka skupiona i poważna, interpretująca postać chyba bezbłędnie. Podczas kiedy jej „gwiezdny" małżonek Wołodia (Wł. Mancewicz) jest, chyba z winy autora, raczej pusty, papierowy, nie uzasadniający w żaden sposób swojej decyzji, którą zresztą chce zweryfikować decyzją żony: „będzie jak ty postanowisz". Wyraźnie widać, że jest to postać „dodana", aby stanowiła tło dla charakteru Lubow Gieorgiewny. Myślę, że tej roli p. Włodzimierz Mancewicz nie wpisze do rejestru swoich aktorskich sukcesów, których przecież na tej scenie miał przynajmniej kilka.

Para: Grażyna Kłodnicka i Arkadiusz Brukner, w ostatniej części przedstawienia grali z niezwykłą wprost swobodą, ale i z wielką ekspresją przy oszczędnej gestyce, bo wszystko zostało tu skoncentrowane w dialogu. Siedząc w restauracji (gdzie przerwa obiadowa trwa właśnie w porze obiadowej) rozmawiają ze sobą. Denis jest stołecznym „złotym młodzieńcem" (przyjechał z Moskwy), typowym „niebieskim ptakiem", ale jak się okazało, jest bardzo wrażliwy, jakiś okaleczony wewnętrznie (mówi do lekarki – Lubow: łatwiej byłoby powiedzieć, gdzie nie boli). Analiza psychologiczna pewnego zjawiska społecznego została tutaj przeprowadzona przez Arbuzowa z niezwykłą wprost przenikliwością, spokojnie. Odnotowane zostały tylko fakty. Denis mówi, iż ojciec wpajał w niego od dzieciństwa uczciwość, sam będąc człowiekiem uczciwym ponad współczesne możliwości i wyznaje: „Kochałem ojca". Uczciwością do niczego nie doszedł, podczas kiedy stryj, młodszy brat ojca, zdeptał po drodze wszystkie cnoty, włącznie z uczciwością i sięgnął najwyższych szczebli. W Denisie nie ma zazdrości o te szczeble, jest tylko niesmak, bo uczciwy ojciec musiał przed swoim młodszym bratem paść na kolana. Wydaje się, że ujawnienie tych problemów jest sygnałem, jaki uruchomił dramaturg, aby ostrzegał przed możliwą, a nawet nieuniknioną, katastrofą moralną pokolenia czy pokoleń. Otóż Arkadiusz Brukner (świetny w „Kompocie") jakby zaaprobował te niepokoje Arbuzowa, doskonale wyakcentował owe dramatyczne sytuacje demoralizacji. Pokazał również swój sceptycyzm podbarwiony cynizmem, ale jak się okazało, ów cynizm jest tylko powierzchowny, jest maską ochronną, poza którą istnieje silne dążenie ku takim wartościom jak miłość, przyjaźń, prawość, konsekwencja postępowania, przede wszystkim dobroć, która jest podstawą wiary w człowieka.

Pisał Andrzej Drawicz w „Literaturze radzieckiej 1917–1967" o dramaturgii Arbuzowa: *„Cechuje ją upodobanie do szerokich, panoramicznych ujęć chronologicznych, pozwalających na oglądanie bohaterów na przestrzeni wielu lat; zainteresowanie problemami moralno-etycznymi; chętne ukazywanie ludzi niespokojnych, szukających swego miejsca w życiu. Cechuje je również umiejętne, z czechowowskim wyczuciem podtekstu i klimatu psychologicznego prowadzone, rozgrywanie tradycyjnych konfliktów uczuciowych: kameralność przy jednoczesnej zmienności tła, atmosfera ustawicznych poszukiwań twórczych..."*

Jest to niewątpliwy sukces Teatru – ta prapremiera – zamykający „jubileuszowe pięciolecie".

□

STANISŁAW ŻAK

Andriej Arbuzow — „Wspomnienie". Turkowski — Włodzimierz Mancewicz, Asieńka — Krystyna Szostak, Sofia — Magdalena Radłowska, Denis — Arkadiusz Brukner.
Fot. KRZYSZTOF GAJEWSKI

Mimo to, sztuka nie jest natrętnie dydaktyczna czy dydaktyzująca. Owe ostrzeżenia przekazane zostały w tekście jakby mimo woli, nie jako pouczenia lecz jako kwestie do przemyślenia. I jeszcze trzeba również uznać uniwersalność owych kwestii do przemyślenia, bo wyrażają one tęsknotę do uczłowieczenia człowieka i do zhumanizowania dziczejącego coraz bardziej świata.

PS. Nie wiem tylko dlaczego przypomniała mi się jakaś historyjka o bardzo zdolnym chłopcu, który już w przedszkolu wykazywał swoje nieprzeciętne i wielostronne talenty. Rodzice jego byli możni, a wujowie potężni, natomiast wszystkie ciocie opowiadały o sukcesie nieletniego kuzyna. Opromieniony chwałą cudownego dzieciństwa ledwie ukończył szkołę średnią, a o studiach wyższych już nie było nawet co marzyć. Tak się czasem bez związku przyplącze natrętnie jakaś bezsensowna anegdota lub melodia.

□

Redaguje
lek. med. JADWIGA GÓRNICKA,
specjalista chorób wewnętrznych

CZĄBER

CZĄBER OGRODOWY (*Satureia hortensis* L.) pochodzi ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Należy do rodziny wargowych (*Labiatae*), która dostarcza człowiekowi bardzo wielu ziół leczniczych (tymianek pospolity, macierzanka piaskowa, ziele szanty, szałwia lekarska, mięta, rozmaryn, lawenda, melisa, hyzop, majeranek, bazylia). Temperatura ich suszenia ma duży wpływ na zawartość substancji czynnych surowca. Przy suszeniu nie przekracza się 35 st. Chroni to substancje lotne (olejki eteryczne) zlokalizowane we włoskach gruczołowych.

Znane są liczne odmiany cząbru. Najlepszy jest cząber bałkański (bułgarski-czubrica), który ma silniejsze działanie niż cząber uprawiany w Polsce.

W starożytności cząber cieszył się dużym prestiżem, w szczególności u Rzymian.

Surowcem leczniczym jest ziele cząbru.

Cząber zawiera olejki eteryczne karwakrol, tymol, p-pcymol, a-pinen, garbniki, substancje żywicowe, sole mineralne, witaminy C.

WŁAŚCIWOŚCI LECZNICZE

Na użytek wewnętrzny.

Cząber działa moczopędnie, pobudza czynności żołądka, intelektu i pracę kory nadnerczy. Dzięki zawartości karwakrolu, ma właściwości przeciwbakteryjne, przeciwgnilne, przeciwrobaczycowe w szczególności u dzieci, przeciwzapalne, regulujące perystaltykę jelit, rozkurczowe — zwalnia napięcie mięśni gładkich, trawienne, uspokajające, wiatropędne, wykrztuśne, ułatwia przyswajanie pokarmu, znosi wzdęcia i nadfermentację, zwalnia napięcie mięśni gładkich przewodu pokarmowego.

Ziele cząbru ma zapach macierzanki i wchodzi w skład pieprzu ziołowego. Służy jako przyprawa do konserw mięsnych i jarzynowych.

Na użytek wewnętrzny.

Ma właściwości gojące, rozpuszczające, zabliźniające.

WSKAZANIA LECZNICZE

Na użytek wewnętrzny.

Astenia intelektualna i seksualna, astma, atonia wywołana zwiększonym napięciem mięśni gładkich, biegunki przewlekłe, blednica, bóle gastryczne, glista ludzka, kurcze jelitowe, nadfermentacja jelitowa, niedokwaśność, nieżyty przewodu pokarmowego, nerwice żołądka i ogólne, osłabienie ogólne, osłabienie przyswajania składników pokarmowych, pasożyty jelitowe, zapalenie oskrzeli, wzdęcia.

Na użytek zewnętrzny.

Czyraki, guzy, osłabienie słuchu, rany, stłuczenia, ukąszenie owadów, wrzody.

SPOSOBY UŻYCIA

Na użytek wewnętrzny.

Napar. Stosować 5 g ziela na szklankę wody wrzącej. Gotować 2—3 min. Naciągać 10 min. Popijać 3 szklanki dziennie po posiłku. Na biegunki, przewlekłe nieżyty przewodu pokarmowego, nerwice żołądka, nerwice ogólne, wzdęcia, blednica, ogólne osłabienie, pasożyty jelitowe.

Olejek. Stosować 3 do 5 kropli z miodem 2—3 razy dziennie pod koniec posiłków.

Sproszkowany. Do sałatek, mięs, twarogów stosować szczyptę na końcu noża.

Na użytek zewnętrzny.

Napar z całej rośliny. Stosować 25—30 g na 1 l wody do okładów i jako płyn do przemywania ran.

Sok z cząbru na głuchotę. Wprowadzić 3—4 krople do ucha 3 razy dziennie.

Uwaga. Przy chorych nerkach, chorej wątrobie i dolegliwościach sercowych, należy znacznie zmniejszyć dawki cząbru.

Na użytek wewnętrzny.

Ziele cząbru wchodzi jako składnik do mieszanek ziołowych o działaniu wiatropędnym i regulującym trawienie. Mieszanki takie zawierają: kłącze tataraku, liść mięty, koszyczek rumianku, ziele dziurawca, korzeń lukrecji i owoc kopru włoskiego.

Mieszanki przeciwbiegunkowe: kłącze pięciornika, owoc borówki czarnej, ziele rdestu ptasiego, liść pokrzywy, liść babki lancetowatej, kwiat krwawnika i korzeń lubczyka. Takie mieszanki mogą być używane do kąpieli na czyraczycę, wrzody, guzy, stłuczenia z wybroczynami.

W Europie zachodniej, np. we Francji, wywar z cząbru był stosowany do płukania ust w przypadku owrzodzenia dziąseł. Nerwoból zębowy był usuwany przez nacieranie zęba spróchniałego olejkiem z cząbru, przy czym jedną kroplę wprowadzało się do ucha.

W literaturze z zakresu ziołolecznictwa można znaleźć komunikaty na temat działania bakteriobójczego i grzybobójczego olejku eterycznego cząbrowego, tymiankowego, rozmarynowego, lawendowego itp. Można w ten sposób uwolnić pacjenta od gronkowców (10 odmian), innych zarazków i grzybów. Olejek cząbrowy jest w tym przypadku na pierwszym miejscu. Działa przy stężeniach od 2 do 20 razy mniejszych niż inne naturalne olejki eteryczne.

Na drugim miejscu znajduje się olejek tymiankowy.

Rolę antybiotyków spełnia obecnie około 1200 gatunków roślin. Wiele z nich należy do aromatycznych jak np. czosnek, cebula. Znane są olejki eteryczne, Herbapolu: anyżowy, arcydzięglowy, jałowcowy, jodłowy, kminkowy, kolendrowy, kopru ogrodowego, kopru włoskiego, laurowy, lubczykowy, majerankowy, marchwiowy, mięty kędzierzawej, mięty pieprzowej, rumiankowy, sosnowy, szałwiowy, tatarakowy, walerianowy i inne.

Olejek cząbrowy działa jak antybiotyk.

MATKOBÓJCA

Tadeusz Zamogilski

UPALNA lipcowa noc. Około północy obudziła go, wywołana snem może, straszna chęć zniszczenia matki. Nie, nie kochał jej, ale nigdy wcześniej nie zamierzał zabić. Wtedy jednak nie mógł się pozbyć tej natrętnej, uporczywej chęci...

Poszedł do sąsiedniego pokoju, obudził matkę i wywołał do siebie...

Siostra zginęła, kiedy przebudzona hałasem wyszła do przedpokoju...

Matka, to prawie zawsze znaczy miłość.

W sądach często, coraz częściej pada to pytanie, zadają je prokuratorzy i sędziowie, ławnicy i adwokaci, zadają biegli — psychologowie i psychiatrzy. Pytają: co to znaczy kochać?

Oskarżeni odpowiadają, każdy jak umie, czuje, rozumie i jak sobie wyobraża.

Ten młody, dziewiętnastoletni dziś człowiek, kochanie właśnie sobie tylko wyobraża. On mówi: „Mieć jakieś uczucie do danej osoby, przede wszystkim pomagać człowiekowi jeśli znajdzie się w sytuacji trudnej, potrafić zrozumieć człowieka, jakoś podejść do niego, gdy załamany, nie okazywać złych zamiarów".

Tak chciał, żeby go kochać.

Sam, powiada, nie kochał nikogo. Matka, babcia, trzynastoletnia siostra, były mu obojętne. Nienawidził tylko ojca, miał do niego pretensje, prawie w ogóle z nim nie rozmawiał. Chyba od czasu, kiedy po raz pierwszy w życiu dostał od ojca pasem, bo okazało się, że zamiast chodzić do szkoły — wagarował. Powiedział wtedy: „no, to koniec ze mną" i zaczął nienawidzić ojca.

Ze szkoły średniej zrezygnował. Dom przyjął to z oburzeniem, wtedy on w poczuciu odrzucenia („Nie chodziło o pomoc w nauce, o pomoc psychiczną — byłem zero — o rozmowę") wybrał się na giganta, wielką, trwającą pół roku ucieczkę. Włóczył się po kraju, pracował u badylarzy, utrzymywał ze sprzedaży kradzionych sprzed drzwi mieszkań butelek na mleko, zawarł podobno w Warszawie znajomość z jakimś homoseksualistą, mieszkał z nim, aż pewnego dnia zadzwonił po matkę.

Pojechała. Uciekł jej, gdy mieli wchodzić do domu.

Jeszcze raz zadzwonił. Jeszcze raz pojechała.

Wysłano go do szkoły w innym mieście. Uciekł stamtąd po krótkim czasie opowiadając rodzicom, że prześladują go, szukają, gonią terroryści, którym odmówił współpracy. Opowiadał bzdury o powiązaniach z FBI i CIA, o ścigających go wszędzie agentach w czarnym mercedesie. I rodzice uwierzyli.

Ojciec, inteligent, powie potem: „gdyby to było w normalnym czasie, nie uwierzyłbym, ale czasy były niespokojne". Uwierzył. Więc rzekomi agenci zjawiali się wszędzie, gdzie jego syn poszedł do szkoły. Skończył zaledwie jakiś kurs. Nie chodził potem do szkoły, nie pracował.

Tamtego dnia nie było w domu większej kłótni. Jedynie matka wypomniała mu przy jakiejś okazji tamtego giganta. Ciągle wypytywali, gdzie wtedy był, co robił? Nic więcej.

Minął dzień, nadszedł wieczór. Po wyjściu ojca do pracy, na trzecią zmianę, wszyscy położyli się spać. Około północy obudziła go ta straszna chęć zniszczenia matki.

Nie pamięta ile razy uderzył ją kluczem, ile razy hantlą i kiedy właściwie weszła do przedpokoju siostra. Babcia spała, dopiero rano znalazła je martwe. On wtedy, po noclegu na herbskim dworcu, szedł już pieszo do Włoszczowy, skąd zamierzał pojechać do Częstochowy, pomodlić się przed cudownym obrazem i zgłosić się na milicję.

Zatrzymano go szesnaście dni później, w Czachówku pod Warszawą.

Przyznał się do popełnionych czynów. Mówił o poprzedzających tragedię męczących go marach sennych, silnych bólach głowy, niepokoju, obawie, że stanie się coś złego, że będzie nieszczęście.

Poddano go psychiatrycznym badaniom. Badany — mówią — od innych oczekuje wiele: pomocy, opieki, akceptacji i uznania, nie dając w zamian niczego. Wykazuje niechęć do podejmowania wysiłków. Nieufność, skłonność do kłamstwa. Zaczął sprawiać trudności, od kiedy zaczęto wymagać od niego samodzielności i zwiększonego wysiłku.

Badania wykazały, że nie jest chory psychicznie, ma przeciętny poziom intelektualny, ale wykazały też zmiany w postaci encefalopatii. Prościej, zwyczajniej mówiąc — organiczne uszkodzenie ośrodka układu nerwowego, powodujące niedokształcenie uczuciowości wyższej, bierność, zależność i egocentryzm.

A tamtej lipcowej nocy dokonał nieracjonalnego, z punktu widzenia psychologii, czynu, będącego ostrym, prymitywnym, dysforycznym rozładowaniem skumulowanych efektów depresyjnych — zabił matkę. Zabił młodszą siostrę.

Nie potrafi kochać.

W sądach często, coraz częściej pada to pytanie, zadają je prawnicy i psychologowie, myślą o nim świadkowie i widzowie. Pytają: co to znaczy kochać? Co to jest miłość? Bo jakkolwiek miałoby to tutaj zabrzmieć, bez miłości trudno sobie wyobrazić normalne ludzkie życie. □

Zenon Guldon

Polski Pliniusz o regionie świętokrzyskim

W 1721 r. w drukarni jezuickiej w Sandomierzu ukazała się praca Gabriela Rzączyńskiego (1664—1737), poświęcona historii naturalnej ówczesnej Rzeczypospolitej. Dzieło to było pierwszą szczegółową fizjografią Polski, stanowiąc przez długie lata jedyne źródło wiadomości o przyrodzie ziem państwa polskiego. Autor zawarł w nim całościową charakterystykę warunków naturalnych, a więc budowy geologicznej, bogactw mineralnych, rzeźby terenu, stosunków hydrograficznych, roślinności i świata zwierzęcego. O popularności dzieła świadczyć może określanie autora mianem polskiego Pliniusza.

Wiadomości przyrodnicze Rzączyński czerpał przede wszystkim z dostępnej mu literatury przedmiotu. Autor zapoznał się w szerokim zakresie z europejską literaturą przyrodniczą, medyczną i alchemiczną, która stanowiła podstawę zawartych w jego dziele ujęć ogólnych. Nie pominął też prac polskich przyrodników z XVII w. Dla szczegółowych ustaleń, dotyczących zwłaszcza występowania bogactw mineralnych, podstawowe znaczenie miały relacje fizjograficzne historyków i opisy geograficzne J. Długosza, Macieja z Miechowa, M. Kromera, M. Bielskiego, S. Sarnickiego, S. Starowolskiego oraz „Obrona Polski" Ł. Opalińskiego. Część obserwacji pochodzi jednak z własnych badań autora. Widoczne to jest zwłaszcza w opisie okolic Sandomierza. W latach 1709 i 1720—1721 Rzączyński był profesorem, a okresowo nawet regensem seminarium duchownego w Sandomierzu i dlatego mógł przeprowadzać badania w okolicach miasta.

Rzączyński stosunkowo dużo miejsca poświęcił występowaniu rud metali w regionie świętokrzyskim. Wymienia więc złoża rud ołowiu, miedzi i srebra w okolicach Chęcin i Kielc oraz liczne złoża żelaza. Wspomina o pirycie pod Sandomierzem, ochrze koło folwarku Kamień, wodach siarczanych w Dobrowodzie pod Buskiem, saletrze pod Wiślicą i witriolu pod Sandomierzem. Znacznie więcej miejsca poświęca glinkom garncarskim i surowcom kamiennym. Jako jeden z pierwszych wspomina o kamieniach młyńskich wydobywanych pod Ćmińskiem i kamieniu na osełki, pochodzącym ze wsi Pogorzała pod Szydłowcem.

Zgodnie z panującą wówczas modą szczególnie wiele miejsca poświęca osobliwościom i anomaliom natury. Stąd obszerne informacje o potworach zwierzęcych, a zwłaszcza o smokach. Nie brak też wiadomości o bazyliszkach, stworzeniach o postaci koguta lub indyka z ogonem węża, których spojrzenie zabijało. Odrębny rozdział poświęcił Rzączyński potworom ludzkim. Tak więc w Brankowie, położonym w pobliżu wsi Stromiec niedaleko Radomia, w 1527 r. miał się urodzić chłopiec z lwią głową i włochatą piersią, który chwilami straszliwie zgrzytał zębami. Przykładów takich jest znacznie więcej i stąd dzieło Rzączyńskiego stanowi ciekawą lekturę. Trzeba jednak znać łacinę i to nie tę z kieleckich zakładów gastronomicznych. □

Barbórka i Dydek

W KOŃCU XVI w. okolice Kielc stały się liczącym ośrodkiem górnictwa i hutnictwa kruszcowego, dostarczając poważnych ilości miedzi, ołowiu i srebra. Stąd też w 1601 r. w Kielcach utworzony został urząd górny (górniczy) który kierował eksploatacją górniczą i przeróbką kruszców oraz rozsądzał wszelkie sprawy związane z tą działalnością na terenie kluczy kieleckiego i cisowskiego biskupstwa krakowskiego. W 1816 r. z inicjatywy Stanisława Staszica w Kielcach powstała Główna Dyrekcja Górnicza, która miała sprawować dozór *„nad wszystkiemi bądź w ziemi bądź nad ziemią znajdującymi się kruszczami, robotami, budowlami, składami i funduszami górniczemi"* w całym Królestwie Polskim. Z tego też okresu pochodzą poniższe informacje o obchodach święta górniczego.

W przeddzień świętej Barbary cały korpus górniczy brał udział w uroczystych nieszporach w katedrze kieleckiej. Górnicy występowali w galowych mundurach, do których prawo mieli także studenci miejscowej Szkoły Akademiczno-Górniczej. Tylko jednak studenci najstarszych lat mieli prawo noszenia kompletnego munduru oraz ładownicy z małym orzełkiem.

Najmłodsi studenci nosili mundury, ale zamiast znaków górniczych mogli używać tylko *„kordelasu czyli pałasza"*. W czasie nieszporów górnicy występowali ze swym amarantowym sztandarem, na którym rozpościerał się biały orzeł, oparty na dwóch srebrnych młotkach. Wieczorem *„całe miasto płonęło od rzęsistej iluminacji"*.

W dniu samego święta górnicy w kościele bernardyńskim na Karczówce wysłuchiwali odprawianej na ich intencję wotywy, po której *„kosztem górników następowało hojne ugoszczenie"*. Wieczorem w jednym z pawilonów zamku biskupiego w Kielcach odbywał się bal.

Kielce posiadały też własnego ducha górniczego o imieniu Dydek. Zamieszkiwał on w grocie Kadzielni. Zgodnie z legendą *„straszydło to oznajmiało swój pobyt przechodniom gwizdaniem złowieszczem i jeżeli jaki śmiałek w porze nocnej nie uląkł się takiego gwizdania, ale podobnym świstem mu wtórował, to duch ten pokazywał się owemu śmiałkowi w postaci górnika i znikał zaraz bez śladu"*. □

*) O wszystkich rzeczach i niektórych innych.

kronika

POMNIK JÓZEFA SZERMENTOWSKIEGO, patrona swojej szkoły, wykonają uczniowie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Kielcach. Projekt pomnika wyłoniono drogą konkursu rozpisanego wśród uczniów. Spośród 24 prac wybrano propozycję Tomasza Pietrzyka.

NAGRODY z Funduszu Nauki i Kultury im. St. Staszica w Kielcach otrzymali w br.: zespołowe: grono działaczy PTTK — Bohdan Bełdowski, Jerzy Kapuściński, Waldemar Kseń, Tadeusz Miarka i Andrzej Rembalski — za inicjatywę i utworzenie Świętokrzyskiego Muzeum Krajoznawstwa i Turystyki oraz zespół działaczy Towarzystwa Przyjaciół i Wychowanków Szkół Wyższych — Tadeusz Kucharzyk, Edward Rybak, doc. dr Zdzisław Trylski, Zdzisław Banasik, Józef Korpikiewicz i Wacław Lorek — za pracę organizatorską na rzecz rozwoju szkolnictwa wyższego w województwie; indywidualne: Bogdan Augustyniak — za osiągnięcia artystyczne w sezonie teatralnym 1982/83; prof. dr hab. Juliusz Braun — za dorobek w dziedzinie ochrony środowiska; Jan Burek — za działalność organizatorską i artystyczną w dziedzinie muzyki; Jerzy Fijałkowski — za popularyzację na łamach prasy historii oraz bogactw naturalnych regionu; Andrzej Grabiwoda — za dorobek artystyczny w dziedzinie architektury wnętrz; prof. dr hab. Henryk Jurkiewicz — za całokształt pracy naukowej i organizatorskiej w dziedzinie geologii; Adam Królikowski — za wieloletnią, aktywną działalność w społecznym ruchu ochrony zabytków; Leszek Kurzeja — za dorobek artystyczny i organizatorski w dziedzinie malarstwa; Helena Naksianowicz — za całokształt twórczości artystycznej w dziedzinie scenografii i malarstwa; doc. dr hab. Jan Naumiuk — za całokształt dorobku naukowego poświęconego dziejom społeczno-politycznym Kielecczyzny; doc. dr hab. Jan Piasta — za osiągnięcia naukowe w zakresie wykorzystania w budownictwie regionalnych surowców skalnych; Stanisław Rogala — za dorobek literacki oraz działalność na rzecz rozwoju środowiska literackiego; doc. dr inż. Zbigniew Rubinowski — za całokształt działalności naukowo-badawczej i społecznej w dziedzinie geologii złóż oraz ochrony środowiska w regionie.

W RADOMIU, w Wyższej Szkole Inżynierskiej, odbyła się kilkudniowa narada pierwszych sekretarzy komitetów uczelnianych partii z zaprzyjaźnionych uczelni z ZSRR, Czechosłowacji, NRD, Bułgarii i Węgier, poświęcona przedyskutowaniu roli organizacji partyjnych w socjalistycznej szkole wyższej.

WOJEWÓDZKIE KONFERENCJE TPPR podsumowały pięcioletnią, najtrudniejszą w dziejach organizacji, kadencję. Wybrano nowe władze. Przewodniczącymi ZW TPPR zostali: w Radomiu — ponownie Danuta Grabowska, sekretarz KW PZPR, w Kielcach — również ponownie — kurator Władysław Figarski.

RUDOLF SZURA, były wieloletni (przez 23 lata) przewodniczący WK SD w Kielcach, obecnie honorowy przewodniczący WK, b. przewodniczący WK FJN i Wojewódzkiego Komitetu Obrońców Pokoju, poseł na Sejm trzech kadencji i przez 30 lat radny WRN — obchodził 75-lecie urodzin. Rada Państwa odznaczyła zasłużonego działacza Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

PLENUM RW PRON w Kielcach z niepokojem wypowiedziało się na temat sytuacji ekologicznej w regionie. Stan zdewastowanego środowiska — stwierdzono — uzasadnia protest mieszkańców Kielecczyzny przeciw wznowieniu budowy Fabryki Tlenku Glinu. W tej sprawie zajęła także stanowisko Rada Naukowo-Ekonomiczna przy wojewodzie kieleckim. W związku z protestami władz i mieszkańców województwa przeciw wznowieniu tej budowy — Komisja Planowania przy Radzie Ministrów powołała pół roku temu Komisję Ekspertów, która ma zająć ostateczne stanowisko w kwestii lokalizacji tej inwestycji w podkieleckich Nowinach. Na wniosek zasiadających w Komisji przedstawicieli Kielecczyzny — zlecono naukowcom rozpatrzenie alternatywnej lokalizacji w Strzelcach Opolskich. Znawcy przedmiotu wypowiedzą się, która lokalizacja jest trafniejsza. Decyzja ma zapaść wkrótce. Liczymy, że będzie to decyzja oddalająca widmo następnych zagrożeń z regionu, który za sprawą „białego zagłębia" stanął na krawędzi katastrofy ekologicznej.

AKT EREKCYJNY pod budowę w Kielcach. Będzie to lecznica na 360 łóżek, koszt jej budowy — 3 mld 824 mln zł. Wykonano fundamenty pod pierwsze obiekty zespołu.

WIĘCEJ zarabiamy, ale też i więcej wydajemy, aniżeli zakładano to w planach. Przychody ludności Kielecczyzny — dane za trzy kwartały br. — wzrosły o 27 proc. (wobec planowanych 15 proc.), na co złożył się przede wszystkim wzrost wynagrodzeń, a wydatki wzrosły o 36 proc. (plan zakładał 23,3 proc.).

7179 PRZESTĘPSTW odnotowano w województwie radomskim w trzech kwartałach tego roku, o 590 więcej, niż w tym samym czasie ub. r. Wzrosła liczba przestępstw groźnych — wymierzonych przeciwko zdrowiu i życiu, m.in. rozbojów. Na mocy amnestii zwolniono w Radomskiem 279 osób, głównie sprawców przestępstw gospodarczych. W tej liczbie znalazło się 9 osób skazanych za naruszenie prawa z pobudek politycznych.

FUNDUSZ ROZWOJU KULTURY w województwie kieleckim dysponuje w br. kwotą 639 mln zł, które służą finansowaniu zawodowych i społecznych placówek kultury oraz na cele inwestycyjne. Komisja Wychowania, Oświaty i Kultury WRN przyjrzała się, jak ten fundusz jest wydatkowany. Stwierdzono, że należy stworzyć warunki do pełnego wykorzystania pieniędzy na budowę teatru (najpierw tych pieniędzy brakowało, a teraz, gdy już są, trudno je „przerobić") oraz na prace konserwatorskie. Fundusz opiera się na dotacjach centralnych, źródła terenowe wspomagają go w znikomym stopniu.

120 ROCZNICA urodzin i 60 śmierci Stefana Żeromskiego przypada w roku przyszłym. Komitet przygotowujący obchody tych rocznic zapowiada m.in. plener rzeźbiarski, konkurs na plakat, wydanie albumu „Poeta ziemi". Zostanie rozpoczęta budowa „szklanej" szkoły w Mąchocicach-Scholasterii, planuje się zagospodarowanie Ciekot.

ROBOTNICZE DNI KULTURY stały się okazją do przedstawienia dorobku twórców amatorów z kieleckich zakładów pracy. Przygotowano z tej okazji wystawę w „Chemarze", Rozstrzygnięto konkurs literacki. „Dni" przebiegały pod patronatem redakcji dwutygodnika „Twórczość Robotników", którego dziennikarze byli gośćmi załóg fabrycznych.

POMNIK BARTOSZA GŁOWACKIEGO stanie w Racławicach. O jego budowę zabiega społeczny komitet działający w ramach Racławickiego Towarzystwa Kulturalnego korzystający ze wsparcia WK ZSL. Inicjatorzy budowy pomnika mają nadzieję, że w 190 rocznicę bitwy kosynierów, w kwietniu przyszłego roku, podczas sesji poświęconej chłopskiemu bohaterowi, zostanie wmurowany kamień węgielny pod pomnik.

VIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POLSKIEJ PIEŚNI CHÓRALNEJ odbył się w Radomiu z udziałem pięciu zespołów. Jurorom i publiczności najbardziej podobały się występy dziecięcego chóru „Echo" z Lublina oraz zespołu „Surma" z Warszawy.

II FESTIWAL JEUNESSES MUSICALES odbył się w ostatniej dekadzie października w Kielcach. Festiwal — dobry to znak — miał liczną publiczność, a pośród słuchaczy znalazło się wiele młodzieży. □

DNI ŻEROMSKIEGO

MUZEUM LAT SZKOLNYCH Stefana Żeromskiego zaprosiło nas (pięknie dziękujemy) na tradycyjną swoją doroczną imprezę — Dni Żeromskiego, pomysłowo opracowane i z wdziękiem prowadzone przez dyrektorkę p. Kazimierę Zapałową, które tym razem składały się najpierw z części artystycznej (pierwszego dnia), potem informacyjno-naukowej (drugiego).

W części pierwszej, podczas której w salach kieleckiego pałacu oprócz koncertującego Włodzimierza Kutrzeby, wystąpił znany aktor Jan Nowicki ze świetną interpretacją programu zatytułowanego „Imię jej matka", na który złożyły się fragmenty „Dzienników", „Syzyfowych prac", „Ludzi bezdomnych" i „Przedwiośnia", wzięło udział grubo ponad sto zaproszonych osób, zwłaszcza młodzież. Na drugą, poświęconą zaznajomieniu nas z pracami nad wydaniem „Pism zebranych" autora „Popiołów", w której wystąpili doc. dr Zbigniew Goliński z referatem „Edytor o spuściźnie Żeromskiego" oraz doc. dr Zdzisław Jerzy Adamczyk z omówieniem niektórych problemów i kłopotów związanych z możliwie pełnym, kanonicznym wydaniem tej spuścizny, przybyło nieco mniej słuchaczy. Kto pozostał w domu lub wybrał inną imprezę, niech żałuje — obaj panowie docenci mówili bowiem rzeczy bardzo interesujące i ciekawe.

O tym, że pod patronatem Instytutu Badań Literackich wraz ze Spółdzielnią Wydawniczą „Czytelnik" przygotowuje się — i jak się przygotowuje — pełne, naukowe wydanie dzieł Stefana Żeromskiego, wiedzieliśmy wprawdzie sporo z wcześniejszych doniesień prasowych i publikacji (zobacz m.in. październikowy numer „Przemian" z ubiegłego roku), spotkanie z przedstawicielami Komitetu Redakcyjnego (doc. dr Zb. Goliński jest jego przewodniczącym, zaś doc. dr Z.J. Adamczyk członkiem i edytorem części nowelistycznej „Pism") przyniosło jednak wiele nowych wiadomości i szczegółów, których z braku miejsca w całości nie sposób tu przedstawić. Odnotujmy tylko, że w „Pismach zebranych" obok na przykład tomu zawierającego poprawioną i ostateczną edycję „Popiołów", znajdzie się liczący blisko sześćset stron maszynopisu tom zawierający liczne odmiany i przeróbki fragmentów tego dzieła, że „Puszcza Jodłowa" ukaże się w oryginalnej, opartej na czystopisie Żeromskiego wersji, że „Pisma" zawierać także będą, niepublikowaną po wojnie publistykę Stefana Żeromskiego (m.in. „Snobizm i postęp", „Inter arma", „Bicze z piasku") oraz zupełnie nieznane, odszukane niedawno nowele lub ich nowe wersje.

Na zakończenie warto tylko dodać, że były to trzynaste już z kolei Dni Żeromskiego i że — wbrew przesądom — nie była to feralna trzynastka. Przeciwnie. □

listy

NA MIARĘ POTRZEB CZY MOŻLIWOŚCI?

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem rozmowę z doc. Józefem Ławnikiem, dyrektorem Instytutu Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Zgadzam się z szeregiem poruszonych w wywiadzie spraw, z których jako najpilniejszy widzę problem integracji szeroko pojętego środowiska historycznego, a co za tym idzie informacji naukowej. Sądzę, że istotna rola w tym winna przypaść Instytutowi Historii. Z tego też powodu chciałbym uzupełnić stwierdzenie rozmówcy odnośnie „białych plam" w historiografii ludności żydowskiej Kielecczyzny.

Od szeregu lat w Pracowni Dokumentacji Naukowo-Historycznej kieleckich PKZ-ów prowadzona jest pełna inwentaryzacja zabytków żydowskich znajdujących się na terenie województw kieleckiego, radomskiego i tarnobrzeskiego. Prace finansują wojewódzcy konserwatorzy zabytków wymienionych województw. Opracowaniami objęto m.in. wszystkie cmentarze żydowskie położone na terenie województw radomskiego i tarnobrzeskiego, zaś w kieleckim przeprowadzono wstępne ich rozpoznanie, natomiast aktualnie trwają prace nad katalogiem zabytków żydowskich. W opracowaniach, prowadzonych pod kierunkiem prof. dr. Artura Eisenbacha, zamieszczono inwentaryzację nagrobków wraz z ich tłumaczeniem z hebrajskiego i żydowskiego. Zawierają one również podstawowe fakty z dziejów gmin żydowskich w oparciu m.in. o kwerendy archiwalne krajowe i zagraniczne. Wyniki badań były publikowane w czasopismach krajowych i zagranicznych, zaś jedno z opracowań otrzymało nagrodę Generalnego Konserwatora Zabytków. Wprowadzenie wyników tych badań do historiografii regionalnej stanowi osobne zagadnienie. Dodać należy, że jedynie na terenie Kielecczyzny prace inwentaryzatorsko-dokumentacyjne są prowadzone w tak szerokim zakresie. Równocześnie złożono do recenzji rozprawę doktorską na temat ludności żydowskiej Kielecczyzny w I połowie XIX wieku. □

ADAM PENKALLA
Radom

KONKURSY

KOCHANOWSKI W EXLIBRISIE

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich w Radomiu ogłaszają II Ogólnopolski Konkurs Graficzny na Exlibris „Jan Kochanowski", mający na celu uświetnienie 400 rocznicy śmierci poety. Każdy uczestnik konkursu może złożyć dowolną ilość prac, każdą pod osobnym godłem; prace nadesłane na konkurs winny być własnością autorów. W konkursie mogą wziąć udział prace wykonane w okresie ostatnich dwu lat. Konkurs rozgrywany jest w dwóch działach: w technikach linorytu, drzeworytu, akwaforty, akwatinty i litografii oraz w technice rysunku. W obydwu działach przewidziane są następujące nagrody: I — 10 tys. zł, II — 8 tys. zł, III — 5 tys. zł, dwa wyróżnienia po 2 tys. zł.

Prace należy nadsyłać do 31 stycznia 1984 r. pod adresem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, pl. Konstytucji 3 Maja 8, 26-600 Radom, gdzie również można zasięgnąć szczegółowych informacji (tel. 277-51). Wręczenie nagród i otwarcie wystawy pokonkursowej nastąpi w maju przyszłego roku □

„MOJE ŻYCIE"

Konkurs pod tym hasłem — na wspomnienia, pamiętniki, dziennik, zapiski — ogłaszają, w związku z przypadającym w roku przyszłym 40-leciem PRL — Wydział Kultury i Sztuki UM i Ośrodek Kultury Literackiej w Kielcach. W konkursie może wziąć udział każdy, kto w terminie do końca czerwca 1984 r. nadeśle pod adresem Ośrodka Kultury Literackiej (ul. Wspólna 8a, 25-003 Kielce) dowolnej objętości materiał obejmujący wspomnienia dotyczące minionego czterdziestolecia i związane z Kielcami i Kielecczyzną. Nadsyłane teksty mogą być wzbogacone zdjęciami, listami itp.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi we wrześniu przyszłego roku. W konkursie zostaną przyznane nagrody: I — 100 tys. zł, II — 8 tys. zł, III — 6 tys. zł oraz wyróżnienia w wysokości od 3 do 5 tys. zł. □

„CHŁOPI — RUCH LUDOWY — POLSKA LUDOWA"

Konkurs literacki pod tym hasłem, z okazji przypadającego w 1985 roku 90-lecia ruchu ludowego — ogłasza Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wespół z redakcją „Zielonego Sztandaru". Konkurs obejmuje cztery rodzaje piśmiennictwa: pamiętniki i wspomnienia (nagrody: 70, 50 i 40 tys. złotych), reportaż współczesny (50, 40 i 30 tys. zł), szkice i esej (50, 40 i 30 tys. zł) oraz proza literacka — powieść, opowiadania, nowela, słuchowisko (80, 60 i 40 tys. zł). Prace w trzech egzemplarzach maszynopisu, w nieograniczonej objętości, opatrzone godłem — należy nadsyłać w terminie do 31 marca 1985 r. pod adresem: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, ul. Grzybowska 4, 00-131 Warszawa, z dopiskiem „Konkurs 90 lat ruchu ludowego". □

Książki nadesłane

ANTONI MALINOWSKI: *„Mit wolności. Szkice o anarchizmie"*. Warszawa 1983. KiW, cena 80 zł. Autor przypomina czym był i jest anarchizm, jakie są jego najważniejsze nurty, założenia, cele. Omawia trwanie tej doktryny we współczesności.

ANTONI MALINOWSKI: *„Współczesny „neomarksizm"*. Warszawa 1983. KiW, cena 180 zł. Autor przedstawia genezę i współczesne interpretacje pojęcia, poglądy młodego G. Lukacsa i koncepcje K. Korscha, zaliczanych do pierwszych przedstawicieli tego kierunku, omawia stanowisko tzw. szkoły frankfurckiej, prezentuje przedstawicieli „nowej lewicy".

RYSZARD MANTEUFFEL: *„Rolnictwo polskie w reformie"*. Warszawa 1983. LSW, cena 80 zł. W oparciu o fakty i liczby autor charakteryzuje rolnictwo polskie, jego sektory, dynamikę zmian, ceny, przedstawia zagadnienia społeczno-zawodowe.

KAZIMIERZ PRZYBYSZ: *„Chłopi polscy wobec okupacji hitlerowskiej 1939—1945. Zachowania i postawy polityczne na terenach Generalnego Gubernatorstwa"*. Warszawa 1983. LSW, cena 160 zł. W tekście m.in.: chłopskie środowisko społeczne przed wybuchem II wojny światowej, polityka okupanta wobec ludności chłopskiej, zachowania i postawy chłopów wobec okupanta, chłopi w walce o wyzwolenie i emancypację wsi.

ADAM SCHAFF: *„Szkice o strukturalizmie"* Wydanie drugie, Warszawa 1983. KiW, cena 130 zł. Trzy szkice. Pierwszy, wyjaśniający pojęcie strukturalizmu jako prądu umysłowego, drugi — poświęcony krytycznej analizie tzw. marksistowskiego strukturalizmu we Francji. Trzeci — podejmujący filozoficzną problematykę gramatyki generatywnej szkoły Chomskyego.

XII PLENUM KC PZPR. 31 maja 1983 r. Podstawowe dokumenty i materiały. Sytuacja społeczno-polityczna i kierunki działania partii. Warszawa 1983. KiW, cena 30 zł.

HENRYK SZCZERBIŃSKI: *„Restytucja mienia polskiego z zachodnich stref okupacyjnych Niemiec"*. Warszawa 1983. KiW, cena 100 zł. Analiza procesu zwrotu mienia przemysłowego zagrabionego przez hitlerowców i jego przewozu z zachodnich stref okupacyjnych do odbudowującej się Polski. Zagadnienia prawne, dokumenty, bibliografia.

STEFAN GRZYBOWSKI: *„Podstawy fonetyki rosyjskiej dla Polaków"*. (Biblioteka rysycysty"). Warszawa 1983. WSiP, cena 50 zł. Opracowanie monograficzne dla nauczycieli.

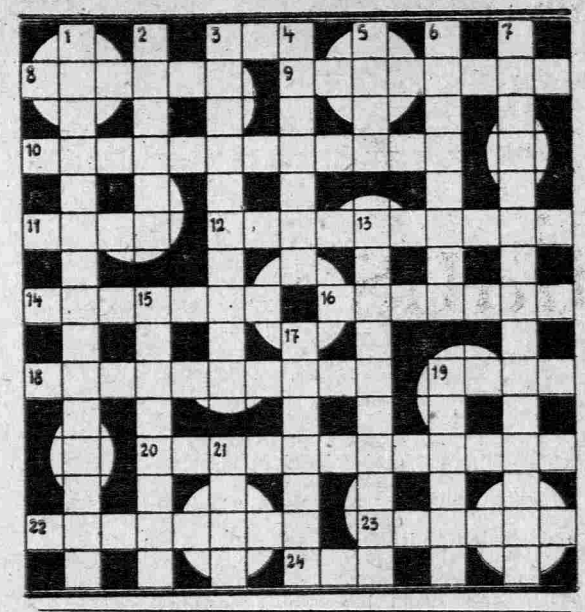

KRZYŻÓWKA 156

POZIOMO: 3) fałszywy pieniądz z czasów Augusta III, 8) towarzyski szlif, 9) chmureczka, 10) wypłoszenie, 11) kierownica szkunera, 12) rura rozprowadzająca c.o., 14) stopa trzysylabowa z akcentem na sylabie ostatniej, 16) schlebianiem i kłamstwem pozyskuje zwolenników, 18) uzewnętrznienie bądź zdemaskowanie, 19) nad kowadłem, 20) Aram — sławny kompozytor, 22) staroarabski poeta, którego najpiękniejszy poemat przyswoił literaturze polskiej A. Mickiewicz („Szanfary"), 23) pan na roli, 24) do nabicia.

PIONOWO: 1) jedna ze współczesnych doktryn filozoficznych, 2) pod piętrami, 3) działacz ruchu ludowego (m.in. „Zaranie" i „Wyzwolenie"), prezes i wiceprezes NKW ZSL (1945—1949), 4) hotel na czas obowiązkowej służby wojskowej, 5) używany w garbarstwie i farbiarstwie, czasem po goleniu, 6) Uniwersytet Jagielloński, 7) przeprowadzanie doboru, 13) pierwsza w życiu książka, 15) ślina i inne wydzieliny ślużówek, 17) zarys kosztów budowy, 19) owoc różowatego drzewa, 21) przed Hanuszkiewiczem.

UWAGA: 14 poz. — a n a p e s t, 17 pion. — a n s z l a g.

Termin nadsyłania rozwiązań mija 15 grudnia br. Losujemy bon oszczędnościowy PKO na 500 zł między czytelników, którzy pod adresem redakcji („Przemiany", ul. Śniadeckich 2 25-367 Kielce) dopiszą: KRZYŻÓWKA 156.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 155

POZIOMO: okapi, przerwanie, Amiza, Szewczenko, klasa, galop, trzoda, rymarz, Legia, cykuta, goniec, seria, płazy, przestroga, Dwina, optymistka, jeleń.

PIONOWO: spust, szlem, groch, gazeta, piekło, komplement, przestrzeń, przysłowie, poruczenie, galas, legar, Praga, Europa, iperyt, stolik, porto, garaż.

NAGRODĘ (500-złotowy bon PKO) wylosowaliśmy dla Edmunda Przepiórki, ul. Targowa 4, 26-930 Garbatka-Letnisk.

przemiany

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
ul. Śniadeckich 2
25-366 Kielce

ZESPÓŁ: **Jerzy Daniel** (redaktor naczelny — tel. 489-91), **Longin Kaczanowski** (sekretarz redakcji — tel. 469-79), **Jadwiga Karolczak**, **Urszula Kendra** (redaktor techniczny), **Zbigniew Nosal**, **Stanisław Rams**, **Julita Twardowska**.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Kieleckie Wydawnictwo Prasowe w Kielcach. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Kielcach. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Prenumerata kwartalna — 60 zł, roczna — 240 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 37143

Nakład 15 195 O-3

fotografika

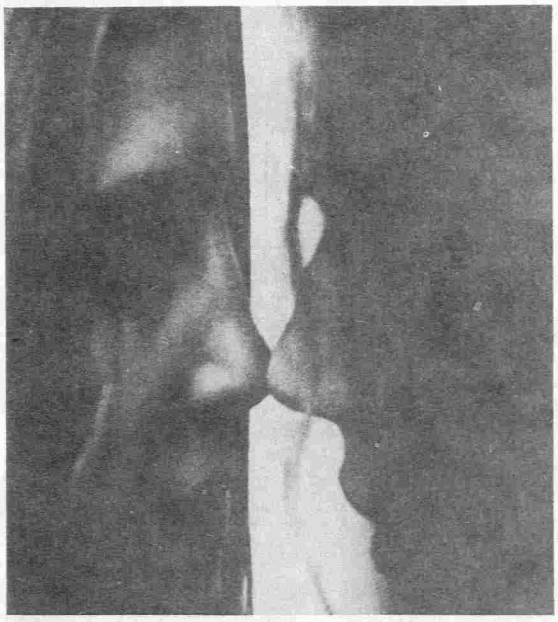

KRZYSZTOF ROSIŃSKI urodził się w 1949 r. w Chełmie. Od 1951 r. mieszka w Pionkach, gdzie ukończył Technikum Chemiczne. Fotografią zainteresował się już w szkole średniej. Od 1974 r. prowadzi Sekcję Fotograficzną przy Robotniczym Ośrodku Kultury w Pionkach. Od 1976 r. instruktor do spraw filmu i fotografii w WDK w Radomiu. Od 1980 r. członek ZPAF.

Ulubionymi tematami K. Rosińskiego są portret, akt i reportaż. Powiększenia bromowe stylizuje w manierze „grubego ziarna", stosuje również techniki specjalne, ze szczególnym upodobaniem wykonując gumy i sitodruki, w czym wyraża zainteresowanie pograniczem plastyki i fotografii. Prace swoje eksponował na 10 wystawach indywidualnych, m.in. „Buffo" (1978) i „Chleb" (1979) w Radomiu, „Eksploracje" (1978) w Pionkach, Ełku, Radomiu, Szydłowcu oraz Halberstadt — NRD, „Fotografika" (1983) w KMPiK Ściana Wschodnia w Warszawie. Uczestnictwo w wystawach zbiorowych przyniosło mu nagrody, wyróżnienia i dyplomy, m.in. główne nagrody na Konfrontacjach Fotograficznych w Gorzowie Wlkp. (1979 — dla Fotoklubu „Kontur"), na Dorocznej Wystawie Fotografii Okręgu Świętokrzyskiego ZPAF w Kielcach (1980) oraz na Wojewódzkim Przeglądzie Artystycznym Plastyki i Fotografiki w Radomiu (1981).

Zorganizował przy WDK w Radomiu Grupę Fotografii Artystycznej „KONTUR": (1978), kieruje jej pracą. Grupa wykonała zbiorowe dokumentacje w zakładach pracy (np. „Huta szkła", „Chleb") i przedstawiła je w formie wystaw na terenie województwa, w kraju, a także za granicą (NRD). Inspiruje i organizuje spotkania i dyskusje, szkolenia i plenery, organizuje seminaria i wystawy. Na uwagę zasługują Warsztaty Fotograficzne w Szydłowcu, raz w roku skupiające kadrę instruktorów i uzdolnionych fotoamatorów z terenu województwa radomskiego. Plonem tych rozlicznych działań są wystawy prezentowane głównie w galeriach fotografii prowadzonych przez K. Rosińskiego (w WDK w Radomiu i MOK w Pionkach).

□

P.P.

ZBIGNIEW KURKOWSKI (olej)
Repr. PAWEŁ PIERŚCIŃSKI

OAZA KOLORU

„myśl prosta do prawdy się wznosi
Poprzez materię, a widząc to światło, unosi się
Wzwyż z poniżenia swojego!"

Suger z Saint-Denis

SZUKAJĄC rodowodu XX-wiecznej, nowoczesnej sztuki polskiej można spotkać się z twierdzeniem, że „wszystko zaczęło się pod Giewontem" Zarówno pionierzy nowoczesności w plastyce tzn. formiści (początkowo zwani ekspresjonistami) jak też późniejsi, a nawet współcześni twórcy polscy jeśli nie mieszkają to chętnie przebywają u stóp panoramy Tatr. To nie urok i malowniczość Podhala i góralszczyzny inspiruje twórczość, a może nie tylko, lecz majestatyczne piękno i wzniosła powaga najeżonych graniami górskich wyniosłości zniewalających wzrok do wędrówki w górę.

Z góry można sięgać, gdzie wzrok nie sięga... być wyżej, ponad, widzieć więcej...

Prezentowane góry z obrazu Zbigniewa Kurkowskiego (wystawionego w nowo otwartej Galerii TAT Jacka Tomali w Kielcach) są sposobem i pretekstem do syntetycznego studium przestrzeni i skali w przestrzeni. Poprzez zderzanie planów ogólnych z detalami, a raczej z ich syntetycznymi malarsko-graficznymi odpowiednikami Kurkowski prezentuje wędrówkę w głąb również wyobrażonej przestrzeni.

Przestrzenie w obrazach Kurkowskiego są bardziej światłem niż kolorem budowane. To światło wprowadza odrealnienie naturalnej kolorystyki przedmiotowej w malowane przestrzenie i stanowi o obrazie dalekim od realistyczno-naturalistycznego widzenia. Kolor w obrazach tego twórcy rezerwuje sobie miejsce niby podrzędne, raczej w formie małej oazy krajobrazowo-przestrzennej i tam dźwięczy ekspresyjną i zazwyczaj chłodną gamą stanowiąc swoisty znak rozpoznawczy autora.

Pogodzić romantyczną tradycję dynamicznego krajobrazu z przedmiotową realnością malowanych motywów przy jednoczesnym poszukiwaniu nowej formy wyrażania przestrzeni to kwadratura niejednej malarskiej palety i zasadniczy problem prezentowanego obrazu. □

MARIAN RUMIN